TYDZIEŃ

Nr 37 (61) ROK II

14. IX. 1947

CENA 20 ZŁ



WYZWOLENIE PRAGI • NA NOWEJ ZIEMI (Reportaż z ziemi mazurskiej) • HITLERYZM PRZED SIEDEMDZIESIĘCIU LATY • JAK KRÓL RUMUŃSKI ARESZTOWAŁ ANTONESCU • SIEDZĄC W PARYŻU, SERCEM BYŁEM W WARSZAWIE

W DZISIEJSZYM NUMERZE PISZĄ I RYSUJĄ:

E. BARTŁOMIEJCZYK
MAJOR J. DUBERT
JAN LENICA
K. MAŁCUŻYŃSKI
ZBIGNIEW MITZNER
M. SADZEWICZ
M. WALENTYNOWICZ
J. WYSZOMIRSKI
L. ZAJĄCZKOWSKA
JERZY ZARUBA
J. ŻEBROWSKI

Anglia contra USA?



Prezydent Stanów Zjednoczonych Truman, po tygodniowym pobycie w Brazylii udał się w drogę powrotną do Waszyngtonu. Na marginesie tej wizyty, związanej z panamerykańską konferencją, która zakończyła się niedawno w Rio de Janeiro, prasa brazylijska snuje interesujące rozważania.

Na konferencji tej bowiem, Stany Zjednoczone, niezależnie od umacniania systemu „obronnego" obu kontynentów amerykańskich, usiłowały wywierać silny nacisk na państwa południowej Ameryki, w kierunku podporządkowania ich gospodarki polityce ekonomicznej Stanów Zjednoczonych.

„Tribune Popular", pismo brazylijskie odsłania niektóre kulisy tych pertraktacji, które zresztą napotkały na silny opór ze strony kół gospodarczych oraz związków zawodowych państw Ameryki Południowej. Pismo wyraża opinię, że prezydent Truman nie potrafił osiągnąć korzystnego dla USA zakończenia pertraktacji z Brazylią na temat zawarcia porozumienia handlowego, zmiany ustawodawstwa, dotyczącego eksploatacji nafty i minerałów kopalnianych, jak również w sprawie cudzoziemskich inwestycji. Według zdania gazety przeszkodził temu oprócz sprzeciwu brazylijskiej opinii publicznej także nacisk Anglików. Anglicy interesują się zarówno naftą brazylijską jak i bogactwami kopalnianymi. To zainteresowanie znalazło swój wyraz w zeszłorocznym porozumieniu naftowym anglo - brazylijskim. Do Brazylii przybyli niedawno angielscy przedstawiciele techniczni i handlowi dla pertraktacji w sprawie eksportu do Anglii brazylijskiej rudy żelaznej i manganowej wzamian za węgiel kamienny i maszyny.

Ostra walka między Wielką Brytanią i USA — pisze gazeta — ma miejsce na froncie pieniężnym. Amerykanie wywierają nacisk na Brazylię, żądając, aby starała się ona o zwolnienie swych zamrożonych funduszów w Anglii i zlikwidowała swe zadłużenie w tym kraju, pozostając tylko w orbicie amerykańskich interesów.

Podrabiacze pereł

ZDROWA skądinąd i ożywiona wymiana zdań w prasie polskiej, dotycząca czystości języka—nie zamiera. Mnożą się wypowiedzi i repliki, przeciwnicy, niczym badacze starych druków, przez lupę kanonów słownictwa studiują nawzajem swoje teksty.

To dobrze. Niech każdy uważa. „Gazeta Ludowa" zajęła się dość skwapliwie wertowaniem naszego „Tygodnia". Nazwała to „połowem pereł". Widocznie ze względów konkurencyjnych. Bo oto okazuje się, iż Szanowny Kolega S. C. sam nienajgorzej potrafi sypać perełkami. Taka podręczna, skromna fabryczka. We wstępie do wspomnianego wyżej artykułu (nam, skruszonym i zawstydzonym łzy płyną z oczu, jak perły...) Kolega S. C. pisze:

„W całej Polsce, zdaje się, jedynie „Język Polski" i „Gazeta Ludowa" interesują się tym artykułem. Toteż zanieczyszczają one teren, mnożąc się szybko i „ponad normę", jakby powie dział Wiech".

Bardzo to szlachetnie, strofując innych, jednocześnie tak szczerze i rozbrajająco otwarcie, przyznawać się do własnych win.

Toniemy!

JAK donosi z właściwym sobie poczuciem humoru prasa brytyjska, podczas wielkich uroczystości, związanych z rocznicą założenia miasta New Castle w Australii, zaszły dwa zabawne wypadki. Na pamiątkowych znaczkach pocztowych zamiast fotografii burmistrza miasta, umieszczono wizerunek jakiejś innej osoby.

Nic to jednak rozbawiło publiczność. Zaszła mianowicie druga omyłka: przy zakupie flag, którymi miało być udekorowane miasto. Zakupiono flagi sygnalizacyjne marynarki. Nad największym bankiem miasta umieszczono flagę, która w języku marynarskim oznacza słowo „Toniemy".

Jak wiadomo, sytuacja gospodarcza Imperium Brytyjskiego pozostawia wiele do życzenia. Czy nie działała w tym wypadku freudowska teoria pod świadomości? Brytyjczycy pocieszają się jednak, że jako synowie morza, poradzą sobie jakoś ze wzburzoną falą.



Tajny oręż Hitlera

PUŁK SIMON, dyrektor Instytutu Balistyki armii amerykańskiej, ogłosił niedawno sensacyjny raport o stanie przygotowań niemieckich do zastosowania nowych nieznanych środków bojowych. Oto kilka przykładów:

Rakieta R4M, przygotowana przez laboratoria Messerschmidta, mogła zapewnić Niemcom przewagę w powietrzu. Rakieta ta została wypróbowana. Sześć myśliwców niemieckich uzbrojonych każdy w 40 sztuk tych rakiet zestrzeliło w spotkaniu z lotnictwem alianckim 14 fortec latających bez własnych strat.

Sztuczny cyklon w odróżnieniu od gazu uśmiercającego wywoływał mały, ale potężny wir powietrzny, tak silny, że w jedną dziesiątą sekundy urywał skrzydła samolotom.

Karabin dźwiękowy wywoływał huk tak potężny, że powodował śmierć człowieka na 60 metrów od miejsca wybuchu, a na odległość 300 metrów wywoływał poważne uszkodzenia organów słuchu i wzroku.

Raport Simona dowodzi, że w pogróżkach Hitlera były pewne elementy prawdy. Na szczęście szybki marsz zwycięskich armii i brak surowców do fabrykacji nowych typów uzbrojenia przerwały niebezpieczne przygotowania. (p)

Za kratami więzienia Spandau

SIEDMIU spośród oskarżonych w procesie Norymberskim uniknęło kary śmierci: Rudolf Hess, admirałowie Raeder i Doenitz, były minister spraw zagranicznych i „protektor" Czech Neurath, minister gospodarki Funk, dyktator produkcyjny Speer i „führer" młodzieży von Schirach. Wszyscy znajdują się obecnie w starym więzieniu niemieckim Spandau.

Skończyły się dobre czasy wiktu amerykańskiego w Norymberdze. Obowiązu je ich o wiele odpowiedniejsza dieta więzień niemieckich i niemiecki strój więzienny wraz z nieodzownymi drewnianymi chodakami. Wszyscy więźniowie są ulokowani w pojedynkach i nie mają prawa komunikowania się ze sobą. Jedynym urozmaiceniem jest obowiązkowa praca w ogrodzie. Celem uniknięcia wszelkich niespodzianek w straży więziennej i obsłudze nie ma ani jednego Niemca. Wszystkie posterunki są obsadzone również przez wszystkie cztery mocarstwa okupacyjne. Jedynym wyjątkiem jest fryzjer więzienny. Jako Holender reprezentuje małe narody. (p)

„Otwórz drzwi" Franco!



Zupełnie nieoczekiwanie rząd gen. Franco wydał rozkaz wykonywania w radio i produkowania publicznie piosenki amerykańskiej „Otwórz drzwi, Ryszardzie". Nie chodzi tu bynajmniej o jakąś demonstrację przeciwko Ameryce, ani przeciwko autorowi przeboju, ale przeciwko nieoczekiwanej popularności, jaką uzyskała ta piosenka w więzieniach faszystowskiej Hiszpanii.

Niewiadomymi drogami melodia dotarła do więzień i została pochwycona przez przymusowych lokatorów licznych zakładów tego rodzaju, w których gen. Franco zamyka swoich przeciwników politycznych. Więźniowie zmienili jednak refren na „Otwórz drzwi, Franco!". Ponieważ mury więzienne okazały się dobrymi przewodnikami głosu, a strażnikom nie udało się zmusić więźniów do milczenia, rząd gen. Franco po prostu zakazał dalszej publicznej produkcji zbrodniczej melodii. Widocznie uznał, że każdy, śpiewający buntowniczych tonów, staje się jawnym przeciwnikiem reżimu. (P)

Grecja płaci

JEDNYM z głównych źródeł dochodu przedwojennej gospodarki greckiej była marynarka handlowa. Wprawdzie większość dochodów płynęła do kieszeni właścicieli, a marynarze mieli tylko niewielki udział, ale w ogólnym rachunku przypływ dewiz był korzystny dla gospodarki całego kraju. W wyniku wojny część floty została zatopiona, a armatorzy przenieśli się do Ameryki. Dziś większość właścicieli okrętów greckich mieszka w Nowym Jorku.

Kilka miesięcy temu władze amerykańskie odstąpiły rządowi greckiemu 100 statków handlowych typu „Liberty" na niezwykle dogodnych warunkach. Statki te zostały natychmiast odsprzedane prywatnym osobom, zamieszkującym w Stanach Zjednoczonych, choć formalnie będących obywatelami greckimi. Rząd grecki zawarł z nimi umowę, w myśl której będą oddawali jedynie 30 procent dewiz, wzamian za co zredukował im jeszcze podatek z 43 na 14 proc.

Nie należy się więc dziwić, że z 146 statków należących do obywateli greckich już 82 pływa pod flagą Panamy. Grecja płaci, a żniwo zbierają kapitaliści, rodzimi i obcy. (p)

NASZA OKŁADKA



Rys. E. Bartłomiejczyk

ODBUDOWUJEMY GDAŃSK

Stulecie Liberii

W SIERPNIU republika murzyńska Liberia obchodziła stulecie swego istnienia. W okresie międzywojennym, gdy na wzór Italii i Niemiec, również w naszym społeczeństwie pojawiły się jednostki marzące o ekspansji kolonialnej Polski, pisano dużo o tym kraju, do którego Amerykanie odesłali przed stu laty pierwszą partię wyzwolonych niewolników.

Liberia jest jedynym „niezależnym" państwem murzyńskim w Afryce, które nawet przejściowo nie było rządzone przez białych. Faktycznie jednak biali Amerykanie mają tam nadal bardzo wiele do powiedzenia. W czasie ostatniej wojny Liberia była ważną bazą zaopatrzenia dla wojsk i lotnictwa amerykańskiego.

Cały kraj jest społecznie niezmiernie zacofany, a 12.000 potomków dawnych niewolników amerykańskich stanowi elitę społeczną, narzucającą swoją władzę blisko półtoramilionowej ludności. Warto przypomnieć, że w latach dwudziestych bieżącego stulecia Liga Narodów wysłała do Liberii komisję dla zbadania współczesnego niewolnictwa, polegającego na sprzedaży robotników do plantacji na terytorium hiszpańskim za 60 dolarów od każdego robotnika. (p)

Błędne koło

ANGLIA przechodzi poważny kryzys na rynku pracy. Sprawa znalezienia dostatecznej liczby górników, robotników rolnych i przemysłowych nie schodzi ze szpalt wszystkich pism. Wszyscy mamy w pamięci niesmaczne targi wokół robotników i górników polskich, a jednocześnie niektóre dominia angielskie pociągają rodowitych Anglików. Według nieoficjalnych obliczeń liczba kandydatów na wyjazd do Australii i Kanady obliczana jest na milion osób. Jedynym hamulcem powstrzymującym falę emigracyjną, był brak środków transportowych.

Ostatnio głód rąk roboczych w Kanadzie doszedł do zawrotnych rozmiarów. Zdecydowano więc sprowadzić choćby część z nich drogą lotniczą. Specjalny samolot przewozi trzy razy na tydzień po 38-u angielskich kandydatów na robotników rolnych z Londynu do Toronto. W chwili obecnej 7.000 kandydatów oczekuje na możliwość wyjazdu. W tym samym czasie Kanada posiada wciąż jeszcze najbardziej rygorystyczne ustawodawstwo imigracyjne, które prawie całkowicie wyklucza imigrację osób pochodzenia nie anglosaskiego. (p)

Ostrze na ostrze

LUDZIE I CYFRY

Z wielkim zainteresowaniem czytam w prasie sprawozdania ze Zjazdu Przemysłowego w Szczecinie.

Nie tylko dlatego, że cieszy po prostu każdy metr więcej wyprodukowanego materiału, każda tona więcej wydobytego węgla, każda odbudowana fabryka, czy dom — jako świadectwo, iż naszemu organizmowi gospodarczemu, mimo wielu jeszcze niedomagań i bolączek, z dnia na dzień przybywa na wadze i siły.

Poza cyframi tkwi bowiem rzecz istotna, nierównie ważniejsza — człowiek. Ludzie Ziem Odzyskanych. Ludzie, którzy pozostali na zachodzie, gdy spłynęła fala wszelkich poszukiwaczy przygód i złotego runa, pozostali tak, jak przywiera do gleby żyzny, rzeczny muł. Ludzie, którzy tworzą cyfry tych wszystkich referatów, sprawozdań, przemówień — wygłaszanych, drukowanych i przenikających zwolna lecz skutecznie do świadomości. Polaków i cudzoziemców, jako dowody nieodwracalności faktów historycznych.

Pamiętam dobrze tych ludzi sprzed dwóch niespełna lat. Nie mówię o przypadkowych kolekcjonerach pamiątek z Ziem Odzyskanych, lecz o tych, co pozostawili wśród zachwaszczonych pól i zburzonych miast zachodu znaleźć swój dom i chleb. Przy całej swej zdobywczości i determinacji, nie byli oni bynajmniej wolni wówczas od wahań i niepokojów. Zachód nazywał się zachodem — Polska — Polską. Mówiło się: tu, u nas, na zachodzie i tam — w Polsce, w domu, który stoi nad Wisłą. Polski na zachodzie nie było. Byli tylko Polacy.

Jak jest teraz?

Spotkałam kiedyś znajomą, która osiedliła się we Wrocławiu. Było to po Wielkiej Nocy. Zapytałam, gdzie spędziła święta.

W domu.

Pytam:

— To znaczy w Warszawie? — Część jej rodziny pozostała bowiem w Warszawie.

— Nie — odpowiedziała — w domu, we Wrocławiu...

Jeden z osadników, jeden z wielu, chłop zza Buga, długi czas nie mógł się zdecydować na zamieszkanie w przydzielonym mu pięknym, murowanym domku. Wystawił sobie obok szopę drewnianą. Dowiedziałam się niedawno, że przeszło mu to onieśmielenie. W szopie leżą narzędzia gospodarskie, a jego dzieciaki biegają po parkiecie willi, nie pamiętając już, jak wyglądała glin ana polepa.

Takie jest ludzkie oblicze cyfr statystycznych. Takie jest tłumaczenie prawdy o polskim zachodzie na język codziennego życia. Prawdopodobnie za jakiś czas zniknie w ogóle cała nasza nomenklatura „Ziem Odzyskanych" i „Ziem Zachodnich" i pozostanie po prostu — Polska. Dążyć należy do tego jak najszybciej.

AVIS

Laryssa Zajączkowska

ŚWIĘTA I DZIEŃ POWSZEDNI

CZY nie za dużo naraz urządzamy obchodów, uroczystości, zjazdów, „Dni" rocznicowych? — zapyta być może niejeden obywatel, przytłoczony nadmiarem prasowych sprawozdań, komentarzy i przemówień. Prawdopodobnie miałby rację, gdyby te wszystkie zjazdy i obchody nosiły charakter pustej galówki, ucieczki od palących zagadnień dnia w dziedzinę nieistotnych abstrakcji — gdyby były jak wagary szkolne — umykaniem przed niełatwą rzeczywistością i obowiązkami codziennego życia.

— I cóż mi przyjdzie z tych wszystkich przemówień? Słowa nie węgiel i nie chleb... Ze sprawozdania palta na zimę nie uszyję! — gorzkie słowa zwątpienia wyrywają się nieraz z ust ludzi, borykających się nieustannie z trudnościami w codziennej walce o byt.

JAKIŻ jest wobec tego cel i sens tych różnych obchodów, które zbiegły się rzeczywiście tak licznie w miesiącu wrześniu, że nieodparcie nasuwa się myślowa potrzeba powiązania ich między sobą w ramach pewnej logicznej całości?

Mieliśmy zatem dzień pierwszy września — rocznicę wybuchu wojny, który stanowi obecnie inauguracyjny dzień miesiąca odbudowy Warszawy. Odbyło się Święto Lotnictwa. Obchodziliśmy trzecią rocznicę uchwalenia dekretu o reformie rolnej. Stoi przed nami — również w perspektywie września ogólnokrajowy Dzień Spółdzielczości. W Szczecinie odbył się Zjazd Przemysłowy Ziem Odzyskanych.

Mimo, iż niejedno jeszcze być może daloby się w tych obchodach i zjazdach usprawnić, ulepszyć, skoordynować — stwierdzić należy bez wątpienia, że sama treść ich i istota wrasta głęboko w życie codzienne każdego z nas, w nasze troski i bolączki każdego powszedniego dnia.

Wrzesień, który w roku 1939-tym tak tragicznie, tak nieodwołalnie przekreślił okres ubiegłego dwudziestolecia, okres nienaturalnych skrzywień i niewłaściwego kierunku linii rozwojowej narodu — ten wrzesień całym ogromnym brzemieniem swych skutków i doświadczeń sprowadza nasze myśli i czyny na drogi właściwe. Staje przed nami jak nauczyciel, który staje przed uczniami w szkole — właśnie także we wrześniu.

Zdobyta przez nas we wrześniu i po wrześniu kosztem bezcennych strat i ofiar wiedza o życiu, o naszych błędach i pomyłkach, której upartym, corocznym przypomnieniem jest dzień pierwszy tego miesiąca, domaga się od nas konsekwencji działania — wyciągnięcia z nauki praktycznych wniosków, zastosowania ich w życiu codziennym.

Te wnioski były: gruntowna przebudowa naszego życia politycznego, gospodarczego, społecznego, wytężona praca wychowawcza w kierunku uzdrowienia pojęć ideologicznych i ekonomicznych, zasadnicza zmiana postawy w stosunkach międzynarodowych.

Takie były wnioski. I właśnie organizowane obecnie zjazdy i obchody mają być i są sprawdzianem zakresu i tempa praktycznej tych wniosków realizacji.

A zatem: reforma rolna. W jakiej mierze uzdrowiła naszą strukturę gospodarczą? W jakiej mierze, czyniąc zadość dziejowej sprawiedliwości, jest dla nas takim scementowaniem spoistości narodowej, które utrwali i zabezpieczy w całej rozciągłości naszą niepodległość? Jakie zadania czekają nas jeszcze — każdego z nas—w dziele pogłębienia tej reformy?

A zatem: odbudowa Warszawy. Podsumowanie czynionych co dnia postępów. Ocena tempa. Planowanie dalszej mobilizacji środków materialnych na ten cel. Skorygowanie ewentualnych niedokładności tego planowania, rewizja niektórych nierealnych — przy naszych dzisiejszych możliwościach — założeń.

A zatem: Ziemie Odzyskane. Przemysł oparty na nowych zasadach gospodarczych. Wrastanie tych ziem w organizm gospodarczy państwa. Wykorzystanie wszystkich nowych perspektyw. Wydajność i rentowność produkcji. Cyfry, dla każdego człowieka w Polsce pełne treści, cyfry — miernik wykonania Planu Trzyletniego i jego obietnic.

A zatem: spółdzielczość. Jakie jej formy najlepiej zdają egzamin w trudnych warunkach wydobywania się Polski i świata z powojennego chaosu gospodarczego i moralnego? Jak spełnia ona swoją rolę wychowania uspołecznionego człowieka? W czym należy jej pomóc? Jaki jest konkretny wkład ruchu spółdzielczego w odbudowę gospodarczą kraju?

Na te wszystkie pytania nasze obchody i zjazdy wrześniowe winny dać każdemu człowiekowi, nawet niezbyt biegłemu w zagadnieniach ekonomicznych jasną, zrozumiałą odpowiedź. Procesy, zrozumiałe dla polityków, czy specjalistów, są niejednokrotnie trudne do opanowania i zrozumienia dla prostego człowieka, czy człowieka wychowanego w wadliwych pojęciach ekonomicznych — zwłaszcza, gdy osobista troska o byt przysłania mu szersze perspektywy.

Dla organizatorów obrad czy akademii — wierzymy — referaty, przemówienia, statystyki, nie są świętem. Są jeszcze jednym dniem powszedniej pracy — tyle tylko różnym od innych podobnych dni, że pozwalającym na podsumowanie wyników jednego z kolejnych etapów tej pracy, na analizę ogólnej sytuacji.

Rzecz jednak w tym, aby nie znalazł się wśród społeczeństwa nikt, kto czułby się w takich dniach obcy, obojętny, wyłączony z dyskusji, kto uważałby tę dyskusję za próżne świętowanie.

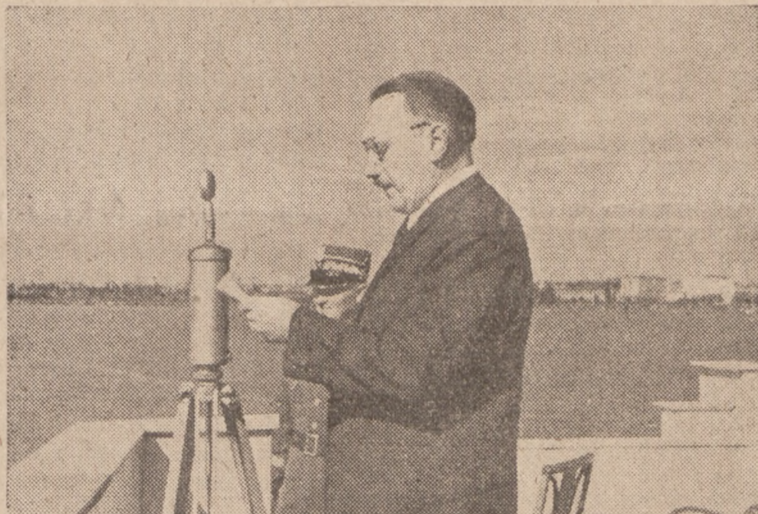
Jest rzeczą konieczną pogłębienie wiadomości, przenikającej już dziś w dużym stopniu masy, iż istnieje bliska, nierozłączna więź i współzależność pomiędzy tym, co się mówi na zjazdach i obchodach, a tym, co jest treścią każdego powszedniego dnia naszego życia.

Pogłębienie tej świadomości leży w zakresie obowiązków narodowych i ludzkich wszystkich tych, którzy ją sami w znacznym stopniu już posiedli. A więc: ludzi, kierujących życiem naszym na różnych odcinkach, działaczy oświatowych i politycznych, pisarzy i dziennikarzy.

Takie „poświąteczne" i „międzyświąteczne" refleksje nasuwa wrześniowy, powszedni dzień.



ŚWIĘTO LOTNICTWA W WARSZAWIE



Prezydent Bierut przemawia do lotników



Polskie samoloty na polskim niebie.



— Patrzcie, patrzcie!

NA ODBUDOWĘ STOLICY



W przerwie swego występu artyści radzieckiego zespołu Moisiejewa zbierają wśród publiczności datki na odbudowę Warszawy. Zbiórka ta przyniosła 106 tys. złotych.

Fot. Film Polski

ZA MAŁO KOBIET W RUCHU SPÓŁDZIELCZYM

Przeszło 3 miliony członków liczą spółdzielnie w Polsce, w tym zaledwie 604.308 kobiet — według zestawień Związku Rewizyjnego Spółdzielni RP na dzień 31 grudnia 1946 r.

Najwięcej kobiet w spółdzielczości mamy w województwie łódzkim — 103.744, następnie w województwie krakowskim — 86.521 i w woj. warszawskim — 73.730. Najmniej na Ziemiach Odzyskanych: na Ziemi Lubuskiej w woj. poznańskim zaledwie 2.472, w woj. gdańskim 4.369, w woj. olsztyńskim 4.406 i szczecińskim 5.118. Już nieco więcej członkiń posiadają spółdzielnie w woj. katowickim i wrocławskim. Na Górnym Śląsku ogółem 67.963 kobiet, w tym na terenach przyłączonych 16.601 i na Dolnym Śląsku 15.261.

A właśnie na Ziemiach Odzyskanych kobiety polskie winny pełnić ofiarną służbę obywatelską, biorąc czynny udział w ruchu spółdzielczym, który może pomagać w zaspokajaniu potrzeb życiowych. I może również ruch spółdzielczy przyczynić się do rozładowania bezrobocia wśród kobiet przez propagowanie rozbudowy spółdzielczości pracy na terenie całego kraju.

Nie ma więcej na ogół kobiet ponad 20 proc. i to nie we wszystkich formach spółdzielczości. Dwie trzecie wszystkich kobiet pracujących w spółdzielczości znajduje się w spółdzielniach spożywców, w tym w spółdzielniach spożywców w miastach 204.591 i na wsi 118.996. W spółdzielniach pracy jest około 15 tys. kobiet i w tym kierunku wśród kobiet coraz bardziej rozwija się ruch spółdzielczy.

Pragnieniem działaczek spółdzielczych jest powiększenie udziału kobiet w spółdzielczości do poziomu ilości mężczyzn należących do spółdzielni.

Za granicą w ruchu spółdzielczym kobiety odgrywają dużą rolę, zwłaszcza w Anglii, Szwecji i w Szwajcarii. Budzi się również spółdzielczy ruch kobiecy w Ameryce. Międzynarodowa Liga Kooperatystek z siedzibą w Londynie istnieje już około stu lat. Angielskie kooperatystki chlubią się tym, że tak wychowały społeczeństwo Wielkiej Brytanii, że stało się możliwe utworzenie rządu Partii Pracy.

W Polsce kobiecy ruch spółdzieczy [illegible] się w Wydziale Spółdzielczym Ligi Kobiet. Przewodniczącą Rady tego wydziału jest ob. Olena Hauboldowa, a przewodniczącą Komitetu Wykonawczego ob. Janina Święcicka. Wydział Spółdzielczy pracuje ściśle z Wydziałem Szkoleniowo-Gospodarczym Ligi Kobiet, który przez przeszkalanie zawodowe umożliwia kobietom uczestnictwo w spółdzielniach pracy, zapewniając tym sposobem egzystencję życiową. W całym kraju około 7 tys. kobiet znajduje już pracę w spółdzielniach przeważnie krawieckich i bieliźniarskich. Duże warsztaty spółdzielcze są prowadzone w Gliwicach przez b. uczestniczki obozów w Oświęcimiu i Ravensbrück. Około stu dawnych więźniarek wyrabia kołdry i materace dla szpitali i domów wypoczynkowych, szyje mundury dla wojska itp. Oprócz życia i mieszkania w internacie zarabiają od 1 tys. do 4 tys. tygodniowo.

Również zatrudnia sporą ilość kobiet spółdzielnia krawiecka „Strój" w Katowicach.

Do rozwinięcia spółdzielczego ruchu kobiecego niezbędne jest stworzenie sieci instruktorek w całym kraju. Obecnie jest zaledwie 5 instruktorek. Trzeba przynajmniej w każdym województwie posiadać choć kilka instruktorek i na to winny się znaleźć niezbędne fundusze. Tylko na tej drodze będzie możliwe rozładowanie bezrobocia wśród kobiet. Z akcją tą współdziałają trzy ministerstwa: Przemysłu i Handlu, Oświaty oraz Pracy i Opieki Społecznej.

Halina Tarczyc

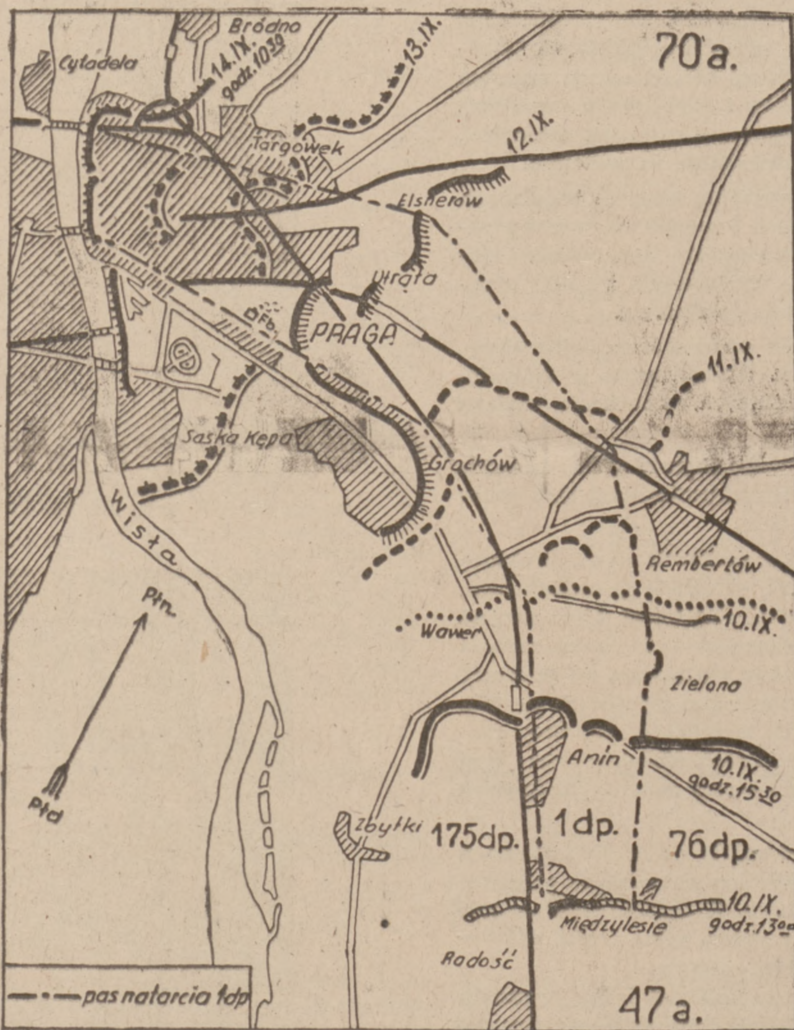
Mjr Janusz Dubert

WYZWOLENIE PRAGI

Podjęta w r. 1944 wielka ofensywa letnia Armii Czerwonej, odrzuciła środkową grupę armii niemieckich po Wisłę, gdzie zawczasu przygotowana linia obronna dała im możność zatrzymania swego dalszego odwrotu.

Mając oparcie o widły Wisły i Bugonarwi, zachował też przeciwnik w swym ręku prawobrzeżne przedmoście warszawskie, obejmujące m. in. obszar Pragi, leżący jak gdyby na straży ważnych pod względem komunikacyjnym mostów warszawskich.

Do czasu rozpoczęcia nowego działania, mającego przełamać obronę niemiecką na Wiśle — podjęły wojska I Frontu Białoruskiego marszałka Rokossowskiego akcję, mającą na celu jeśli nie zlikwidowanie, to przynajmniej zacieśnienie niemieckiego przedmościa, posiadającego wyraźnie zaczepny, nawet groźny charakter.



W działaniu tym wzięła udział 1 dyw. piechoty im. Kościuszki, wyciągnięta ze składu 1 Armii Polskiej, zaangażowanej w tym czasie nad Pilicą.

Wejście 1 d. p. na odcinek 47 armii radzieckiej, a w szczególności jej 125 korpusu strzelców, zostało poprzedzone krótkim, lecz intensywnym przygotowaniem oddziałów polskich do oczekujących je zadań.

W pułkach piechoty zreorganizowano po 1-ym baonie na baon szturmowy i przeprowadzono szereg ćwiczeń, mających na celu przeszkolenie żołnierzy w dziedzinie walki ulicznej, zabudowany bowiem podmiejski teren okolic Pragi, wreszcie sama walka w tym mieście, nasuwały z góry charakter przyszłego działania.

1 dyw. piech. miała nacierać od południa wzdłuż toru kolejowego prowadzącego z Otwocka na Pragę.

W pasie jej natarcia, linia niemieckiej pozycji leżała na południowym skraju Międzylesia, następna przebiegała przez Anin. Dalszych należało domyślać się w głębi pozycji, a przede wszystkim na skraju Pragi i wewnątrz tego miasta.

Stwierdzono, że Niemcy zaminowali przedpola poszczególnych linii, rzucili ciągłe zasieki z drutu kolczastego i wybudowali liczne schrony dla swej broni maszynowej.

Jako zadanie otrzymała dywizja rozkaz osiągnięcia wschodniego brzegu Wisły pomiędzy starym mostem kolejowym a mostem Kierbedzia.

Przy zachowaniu największej ciszy i wszelkich środków ostrożności, została w noc na 9 września wprowadzona do pierwszej linii piechota, która objęła część dotychczasowego odcinka 175 radzieckiej dyw. piech.

Pojawienie się oddziałów polskich na kierunku Pragi mogło wyjawić Niemcom zamiary przeciwnika i tym należy tłumaczyć nakazane środki zapobiegawcze, łącznie do zakazu prowadzenia rozmów po polsku w wysuniętych rowach strzeleckich.

W pierwszej linii stanęły obok siebie 1 i 3 p. p., a każdy z nich ugrupowany swymi trzema baonami wgłąb z wysuniętym na czoło baonem szturmowym.

Wśród żołnierzy panował nastrój wspaniały: rwali się do walki, pragnęli zmierzyć się ze swym odwiecznym wrogiem i iść jak najprędzej ku Warszawie, gdzie wrzało na niemieckich tyłach powstanie, któremu chcia no nieść szybką i skuteczną pomoc.

10 września artyleria radziecka, a w jej składzie artyleria polskiej dywizji, rozpoczęły silne, trwające 1 godzinę i 40 minut przygotowanie artyleryjskie. O natężeniu ognia świadczyć może fakt, że na odcinku 1 dyw. piech. na 1 km frontu przypadało ogółem 154 lufy różnego kalibru dział i moździeży.

Natarcie 1 dyw. piech. i obu sąsiednich dywizyj 125 korpusu przełamało z furią opór przeciwnika, wgryzając się w pierwszym dniu o 4 km wgłąb obrony. W ręce naszej piechoty wpadły działa 173 pułku artylerii, a 70 pułk piechoty niemieckiej poniósł poważne straty.

Dzień 11 września przyniósł dalsze postępy i pomimo częstej interwencji nieprzyjacielskiego lotnictwa i zaciętego oporu, natarcie dywizji osiągnęło rejon Grochowa, wysuwając się w stosunku do swych sąsiadów naprzód i odsłaniając przez to obydwa swe skrzydła.

W tej sytuacji zastał dywizję dzień 12 września, najcięższy dzień walki.

Pomimo licznych przeciwuderzeń przeciwnika dywizja, idąc naprzód, weszła do Pragi, gdzie jako pierwszy wdarł się szturmowy baon 1 p. p. (pułk ten nosi dziś za to nazwę „Praskiego").

W godzinach popołudniowych rzucili Niemcy do przeciwakcji czołgi swej sprowadzonej pospiesznie 19 dyw. pancernej.

W pierwszej linii walczyły już wszystkie trzy pułki dywizji oraz cały 1 PAL, którego działa użyte do ognia na wprost, podjęły zaciętą i skuteczną walkę z nieprzyjacielską bronią pancerną, uderzającą wzdłuż ulic Pragi i na jej przedpolu, grupami po 8 — 14 czołgów przy wsparciu piechoty i dział pancernych.

W ciągu niewielu godzin odparto osiem podobnych uderzeń i zniszczono lub uszkodzono nieprzyjacielowi 18 czołgów.

13-go września trwała dalsza walka już wewnątrz samej Pragi, gdzie nieraz zdobywać należało pojedyncze domy, zwalczać zręcznie ukrytą nieprzyjacielską broń maszynową i działające znienacka czołgi. Pomimo to, ku końcowi dnia walka objęła już okolice dworca Wileńskiego, koszary piechoty na Pradze i przesunęła się w kierunku mostów na Wiśle.

14 września przybyły na pomoc dywizji baon czołgów oraz dwie baterie z I bryg. panc. idącej wraz z całą I Armią Polską ku Warszawie.

W ciągu tego dnia osiągnęła dywizja cel swego natarcia — linię Wisły i tylko nieprzyjacielski punkt oporu, broniący dostępu do starego mostu kolejowego, bronił się jeszcze w ciągu nocy na 15 września, by paść o świcie pod uderzeniem 3 p. p.

Saską Kępę zdobył sąsiad lewy, a na prawo 76 dyw. radziecka zajęła Bródno, wysuwając się ku Pelcowiźnie.

Przez cały czas pięciodniowego natarcia, zarówno dowództwo radzieckie jak i współtowarzysze 1 d. p. — oddziały Armii Czerwonej — dawały stały wyraz swego podziwu i uznania dla zaczepnego ducha i nieugiętej odwagi żołnierza 1 dyw. piechoty, albowiem pomimo nieuniknionych, bolesnych nawet strat i zaciętego oporu Niemców, impet jej uderzenia nie osłabł ani na chwilę.

Toteż wydany już w dniu 14 września do wojsk I Białoruskiego Frontu, dziękczynny rozkaz Naczelnego Wodza Armii Czerwonej, wyróżnia m. in. I Dywizję Piechoty im. T. Kościuszki i jej zaszczytny udział w bojach o Pragę.

Jej żołnierz godnie reprezentował wartości I Armii Polskiej, przyczyniając się chlubnie do wypracowania tych pozycji, skąd w przyszłości wyjść miało wyzwolenie Warszawy.

NIEMCY ZWYCIĘŻONE — NIEMCY ZWYCIĘSKIE

CZYLI HITLERYZM PRZED 70-ciu LATY

W parę lat po wojnie pruskiej 1870 r. dziennikarz francuski p. Tissot wybrał się na reportaż do Niemiec. Ot, coś tak, jak obecnie na przykład nasz Osmańczyk. Sytuacja była o tyle odmienna, że wówczas dziennikarz kraju zwyciężonego wędrował sobie po zwycięskich Niemczech tak, jak obecnie dziennikarz krajów zwycięskiej koalicji wędruje po Niemczech pobitych.

Zobaczymy, jakie obserwacje poczynił w tychże Niemczech p. Tissot przed laty 70-ciu.

Już po zetknięciu się z mieszkańcami świeżo uwolnionego od załóg pruskich Luxemburga dziennikarz francuski notuje:

„Już to Prusacy mają szczęście do tego, że ich świat wszędzie nienawidzi, gdziekolwiek ukażą swą kapralską buławę. Luxemburczycy uważali ich za dozorców więzienia i żadnych nie chcieli mieć z nimi stosunków“.

Dalej powraca do świeżych jeszcze wspomnień wojny pruskiej i powołując się na płk. Lecomte pisze:

„Cała zasługa uruchomienia pruskiej armii polega na znakomitej maszynie administracyjnej, która najprawidłowiej wywiązywała się z obowiązku, dobrze z góry wystudiowanego; należało, bez względu na ofiary, zniweczyć tę maszynerię. Raid na sposób amerykański, a e wzmocniony i udoskonalony awangardą mniej więcej trzydziestu tysięcy ludzi, byłby dokonał cudu, gdyby go natychmiast po wypowiedzeniu wojny wysłano do Frankfurtu...“.

W wojnie pruskiej Niemcy uprawiali na szeroką skalę propagandę, zwłaszcza tzw. dzisiaj grőllpropaganda. Tak np. przy okazji walki o Saarbrücken Francuzi otworzyli ogień z artylerii, niszcząc jedynie dworzec kolejowy, będący obiektem wojskowym.

„Mimo to Niemcy zaczęli krzyczeć, że Francuzi „bombardują miasto otwarte“ że „wznawiają się okrucieństwa wojny palatynackiej“ a „zgliszcza Saarbrücken“ były w ciągu całej kampanii przytaczane jako usprawiedliwienie Bareilles i innych barbarzyństw, spełnianych przez Niemców na większą chwałę Boża. Saarbrück i Wörth stały się kolebką całej gałęzi literatury nowoczesnej, mającej uwiecznić wspomnienie „bandytyzmu“ Francuzów, a wynosić pod niebiosa dobrotliwość jasnowłosej Germanii i znakomite czyny jej czułych i pobożnych synów“.

Po zwycięstwie i ukończonej wojnie nie kończy się kampania propagandowa przeciw Francji.

„Ta literatura służy za broń przeciwko Francji, ma ona podtrzymywać ciągle ten ogień nienawiści, który za Renem nosi nazwę patriotyzmu i tli w sercu każdego dobrego Niemca. Niechże więc teraz p. de Girardin (ówczesny rzecznik „wybaczenia“ Niemcom ich win — przyp. red.) pieści jeszcze swoją dawną mrzonkę humanitarną, niechaj z drugiej strony niedorzeczny lub płatny doktryner berliński zachęca Francję i Niemcy do wzajemnego uścisku. Na to można tylko wzruszyć ramionami. Ażeby zgoda była możliwa i szczera, Niemcy musiełby się pierwej zrzec systemu zaszczepiania w młodzieży nienawiści do dziedzicznego wroga, musieliby spalić na stosie wszystkie książki szkolne, historyczne, poezje i wszystkie romanse, wydane od lat pięciu. Niech który Niemiec znajdzie w całej literaturze francuskiej coś równie podłego i nikczemnie wstrętnego. Podobne dzieła nie są godne narodu, który ma na swoje usługi cały milion bagnetów“.

Niemcy, propagujący w tych warunkach „pacyfikację“ stosunków znajdują się w pewnym kłopocie wobec ciągłego szczucia prasy niemieckiej. Jeden z nich znajduje wyjście, tłumacząc Francuzom w sposób niezbyt pochlebny dla prasy swego kraju:

„Żeby ocenić charakter i kierunek narodowej polityki niemieckiej, trzeba nie przywiązywać zbyt wielkiej wartości do artykułów prasy codziennej; prasa niemiecka po większej części jest tylko objawem przemijających wrażeń usposobienia politycznego, albo też SŁUGĄ CHWILOWYCH CELÓW TAKTYKI POLITYCZNEJ“.

Tissot nazywa to wyznanie niemieckiego pacyfisty „prawdziwie złotym“.

Tego rodzaju prasa urabia opinię dorosłego społeczeństwa. A dzieci? W podręcznikach dla młodzieży szkolnej są opisywane z upodobaniem skutki bombardowania Paryża. Autor karmi wyobraźnię dzieci widokiem bomb i zniszczenia, a w końcu dodaje:

„Spustoszenie było straszne, ale Francuzi sami tego chcieli. Dlaczego się opierali, z takim bezskutecznym uporem“.

Cała zresztą literatura dla młodzieży, śpiewniki, system wychowania nacechowane duchem militaryzmu, zaborczości, nienawiści i pogardy dla wszystkiego, co nie jest niemieckie.

„Prusom żołnierz tylko potrzebny. Po co by miały wychowywać ludzi? Doktór Marcquardt, dobrze znany z tamtej strony Renu pedagog, sformułował metodę wychowania pruskiego w tych słowach: myśleć, czuć i nauczać po NIEMIECKU; widzieć tylko NIEMCY; żywić się historią i pojęciami NIEMIECKIMI; nie uczyć innej mowy prócz NIEMIECKIEJ i usunąć RELIGIĘ ze szkoły“.

Czy daleko hitlerowskie jabłko padło od tamtej jabłoni?

„Krwawe pojęcia, na których ich kształcą, wszystko to wyroby późniejszych **fanatycznych żołdaków, gotowych w każdej chwili do karania innych ludów“.**

Nie zapomina się również o najmłodszych, nieumiejących jeszcze czytać. Do tych przemawia zabawka. Oto np. zabawka, która:

„składa się z dwóch figur, z tych jedna zwykle trzy razy większa niż druga, trzymając swą ofiarę za oba uszy, zmusza ją do najgwałtowniejszych skoków“. Tą ofiarą w rękach Prusaka bywa raz Francuz, to znowu ksiądz, zależnie od potrzeby. „Co do zabawek norymberskich żołnierzy pieszych i konnych, to te stały się obecnie instytucjami patriotycznymi. Żołnierz norymberski uczy wcześnie młodzież niemiecką kłuć żuawów, wieszać strzelców — ochotników i bombardować miasta... Mania militaryzmu nie darowała nawet niemowlętom. Wchodząc do hotelu, minąłem się z boną, niosącą sześciomiesięcznego chłopczyka, ubranego w czapkę pruskiego kirasjera“. Ludożerczo wręcz brzmi ustęp z podręcznika, na którym uczyli się sylabizować dziadkowie Hitlera. „Rzućcie się, jak morze bezbrzeżne na tych Francuzów! Wszystkie pola, wszystkie miejsca — ubielcie ich kośćmi. Tych którymi wzgardzą kruki i lisy, porzućcie rybom! Zatrzymajcie Ren, budując tamy z ich trupów. Zabijcie ich! Sąd historii nie zażąda od was rachunku“.

Prawie bezpośrednio po zgnębieniu Francji:

„zaczęły się prześladowania duchowieństwa, napełniły się więzienia, a kaplanów przywiedziono do żebractwa, lub skazano na wygnanie. Dopuszcza się do przewodniczenia parafianom jedynie duchownych, którzy się uczyli w zakładach pod bezpośrednim nadzorem państwa już jako dzieci i młodzieńcy, ujętych w powijaki pruskiego wykształcenia“. Muszą oni ulegać egzaminowi państwowemu z historii NIEMIECKIEJ, filozofii NIEMIECKIEJ i literatury NIEMIECKIEJ“.

„Jakie są teraźniejsze granice królestwa pruskiego?“ zapytuje w 1876 r. Frankfurter Zeitung i znajduje odpowiedź w postaci wiele mówiącego dowcipu: graniczne miasta od strony Austrii — Greifenberg (góra chwytająca), od strony Rosji — Nimmerstadt (nigdy nienasycony). W r. 1870 kursuje parodia patriotycznej pieśni niemieckiej. „Gdzie jest ojczyzna niemiecka? Wszędzie, gdzie tylko ptak drapieżny szybuje; gdzie mocniejszy może słabszego zdusić, gdzie krwawy dziób wojny pastwi się nad sercem wolności. Tam, bądźcie tego pewni, Prusacy niemieccy, tam, tam jest wasza ojczyzna“.

Dziennikarz francuski zwiedza zakłady zbrojeniowe Kruppa i pisze:

„...ta obszerna fabryka, z której powstało cesarstwo niemieckie w roku 1870, jak gdyby z podziemi piekielnych. Strasburg nie poddał się generałowi Werder, lecz po prostu panu Krupp, twórcy armat, który jednym słowem zmusił Paryż do kapitulacji. Wszystkie pruskie zwycięstwa ukute zostały jego młotami, a jego cyklopy więcej pracowały nad jednością Niemiec, niżeli nawet sam pan Bismarck... W dniu, w którym Francja będzie miała swoją fabrykę Kruppa — Alzacja i Lotaryngia nie będą już niewolnicami nadreńskich piratów“.

Niemiec, przewodnik Francuza objaśnia go z dumą:

„Oto są maszyny ziejące ogniem, które niszczą świątynie, kościoły, pożerają, burzą biblioteki i szpitale“.

A na to Francuz:

„Przyznaj pan, że jest w tym więcej barbarzyństwa, niż wielkości, pracować tak spokojnie nad zniszczeniem rodzaju ludzkiego“.

„Takim to sposobem cesarstwo niemieckie pracuje nad utrwaleniem pokoju!“ — kończy swój reportaż p. Tissot w r. 1876. — „To działo jest wykrzyknikiem, który stać powinien na końcu ostatniej „pokojowej“ mowy p. Bismarcka“.

×

„Wszystko to już było“, powiedział Ben Akiba. Bo i wówczas już byli pp. de Girardin, „pieszczący mrzonkę humanitarną“ w stosunku do Niemiec, oraz „niedorzeczni lub płatni doktrynerzy berlińscy“, zapewniający o „pokojowych uczuciach“ Niemiec. Byli też z drugiej strony tacy, którzy im wierzyli i uwierzyli w „nawrócenie się“ prusactwa. Bo podobno „historia się powtarza“. Albo raczej — nawrócić jest w historii wieczna.

Zebrał Marek Sadzewicz



(Rys. Julian Żebrowski)

ZŁOŚĆ PIĘKNOŚCI SZKODZI!
Resztki Niemców wyjeżdżają z Polski ze złością (z prasy)

KĄCIK JĘZYKOWY

CZY WYRAZY OBCE SĄ KONIECZNE?

Spróbujmy ułożyć malutenki słowniczek najpospolitszych wyrazów obcych, zachwaszczających nasz język, a przekonamy się, jak łatwo, przy dobrych chęciach, zastąpić wiele z nich rdzennie polskimi, pięknymi zwrotami.

Abnegacja — zaniedbanie, niedbałość, niedbalstwo. Odznaczać się zamedbaniem, wyróżniać się niedbałością.

Abominacja — obrzydzenie, wstręt. Ogarnia kogoś wstręt, obrzydzenie; do znawać wstrętu.

Defekt albo feler — brak, niedostatek, wada, uszkodzenie, usterka, skaza — zależy od okoliczności, w jakich się danym słowem posługujemy.

Definitywnie — ostatecznie, nieodwołalnie, stanowczo. Załatwić sprawę ostatecznie, nieodwołalnie. Stwierdzić definitywnie — stwierdzić stanowczo.

Dementować — zadać kłam, zaprzeczyć. Zaprzeczyć pogłoskom, zadać kłam fałszywym wiadomościom.

Enuncjacja — enuncjacja rządowa, enuncjacja ministra: oświadczenie rządu (rządowe), wynurzenie ministra.

Fingować — zmyślać, podrabiać. Wiadomość zmyślona.

Konfiguracja — układ, ukształtowanie, ułożenie. Konfiguracja polityczna— układ stosunków politycznych; rzeczy się znalazły w takiej konfiguracji — rzeczy się znalazły w takim ukształtowaniu, w takim układzie.

Konsument, kosumcja — spożywca, spożycie — jak producent i produkcja — wytwórca i wytwórczość. Dopłata za spożycie, 10 proc. od spożycia. Spożywca narzeka, a wytwórca gwiżdże na to.

Luksu, luksusowy — zbytek, przepych, zbytkowny. Towary zbytkowne; panował zbytek, panował przepych.

Permanentny — stały, bezustanny, ciągły, trwały — zależnie od sensu. To nie może trwać stale, bezustannie; to się nie może ciągnąć w nieskończoność.

Prezencja — wygląd, postawa. Człowiek o pięknej postawie, człowiek o pięknym wyglądzie. Coś się dobrze prezentuje — coś się dobrze przedstawia.

Resort — wydział, oddział, zakres władzy. To należy do innego resortu— to należy do innego zakresu, do innej dziedziny, do innej gałęzi.

Selekcja — wybór, dobór. Dokonać wyboru, przeprowadzić dobór. **Selekcjonować** — dobierać, wybierać, przebierać.

Translokata — przeniesienie; **translokować** — przenosić. Otrzymać przeniesienie do innego miasta. Zostać przeniesionym na inne stanowisko.

Ulokować, uplasować — umieścić, pomieścić, złożyć, usadowić. Pomieściliśmy się doskonale. Umieściliśmy rzeczy na półce. Usadowić się wygodnie.

Zaincjować — wszcząć, rozpocząć, zapoczątkować. Zapoczątkowano zbiórkę uliczną.

Zdetonować — zmieszać, zakłopotać, stropić. Zartobliwie: zbić z pantałyku. Chłopiec zmieszał się, stropił. Moje pytanie zakłopotało go, wprawiło w kłopot.

Tych kilku przykładów wystarczy, aby udowodnić, że można mówić czysto po polsku. Trzeba się tylko zdobyć na wysiłek: odzwyczajać od słów obcych, a przyzwyczajać do rodzimych. I trzeba czystość języka pielęgnować, jak się pielęgnuje czystość ciała — od dziecka.

BAKAŁARZ

Zbigniew Mitzner

NA NOWEJ ZIEMI

Fot. Film Polski

TA ziemia właściwie nie jest nowa.

Tylko po długiej, wiele lat trwającej przerwie podjęta na niej została na nowo historia narodu i państwa. Warmia i Mazury nie wchodzą na nowo w życie polskie, ale nawiązują do tego, czym dla tego życia były przez długie wieki.

Droga z Warszawy do Olsztyna nie przecina już żadnej sztucznej granicy, a ociera się o leżące o trzy kilometry w bok pola bitewne Grunwaldu i Tanenbergu, których niemieckie nazwy nie świadczą o germańskiej wielkości, ale przypominają germańską klęskę.

OLSZTYN mijamy szybko. Naszej dzisiejszej wyprawy nie interesuje ani odbudowa, ani szybki rozwój, ani całkowita repolonizacja, ani podciągnięcie stanu ludności niemal do poziomu przedwojennego tego stołeczno-wojewódzkiego miasta.

Dziś interesuje nas wieś mazurska, a w niej los kilkuset rodzin przybyłych tutaj niedawno. Interesuje nas, jak chłopi z sochaczewskiego, chłopi znad Wisły urządzają się i gospodarują, przeniesieni tutaj w nowe warunki, pięć cztery, a nawet trzy miesiące temu.

Z natury swojej, z natury swej pracy wydawałoby się, iż chłop najmocniej związany z ziemią na której żyje i pracuje, najtrudniej asymiluje się w nowych warunkach. Tymczasem stało się tak, że siłą przyrody wygnany został ze swojej siedziby, że stracił ją niemal bezpowrotnie i pchnięty został na szlak, po którym kroczy dziś historia narodu.

Powódź wiosenna zniszczyła nie tylko domy, nie tylko dobytek, konie i trzodę, ale zdarła drapieżnie i porwała z nurtem rzeki samą glebę, tę nawierzchnię ziemi, która daje owoc pracy. Nie pozostało więc nic innego, jak dobrowolnie wobec ludzi, ale nie dobrowolnie wobec przyrody zabrać ze sobą nędzny węzełek ocalałych rzeczy i iść znad Wisły na północ. Nie na tułaczkę ,ale na nowe gospodarstwo, do innego domu, na ugór, na którym przez trzy lata porosły chwasty, aby podjąć z powrotem swój trud.

JEDZIEMY do tych ludzi właśnie. Ta wycieczka nasza, składająca się z przedstawicieli władz państwowych i dziennikarzy pod przewodem Ministra Rusinka — to jakby konsylium lekarskie, które oglądać ma i badać skutki operacji, zrosty i zabliźnienia ludzi i ziemi.

Te dwie sprawy bowiem, ludzi i ziemi interesują nas tylko i wyłącznie. Nie jesteśmy ani historykami, ani archeologami, szukającymi niewątpliwych śladów polskości na tej ziemi. Nie badamy działalności nowego aparatu państwa, działającego na nowym terenie. Zatrzymujemy się po wsiach, chodzimy od chałupy do chałupy i rozmawiamy z tymi ludźmi.

I oto w pewnym momencie wydaje nam się jakbyśmy głęboko wykopali sztolnię w ziemi. Widzimy wówczas, że nie jest ona tworem jednorodnym, że składa się z warstw złożonych jedna na drugiej, z warstw położonych przez upływ czasu, przez działanie najróżnorodniejszych czynników, które uczyniły z nich twór jednolity, posiadający jednolitą i najważniejszą funkcję życia ludzkiego. Tutaj to nawarstwienie ludzkie jest niezwykle młode i świeże. Jesteśmy świadkami niezmieszania się jeszcze całkowitego różnych pokładów społeczeństwa, kształtującego się z różnorodnych elementów.

Widzimy więc pozostałości i resztki tych piasków nalotowych, które pokrywały ziemię warmińsko-mazurską. Zostały one zmiecione surowym podmuchem wojny, a reszta czeka na swój nie uchronny los powrotu tam, skąd przyszła. To są Niemcy, których ostatnich pozbył się w tych dniach Olsztyn i których pozbywa się wieś.



— Tu jesteśmy, ta zostaniemy — czytamy w zaciętych twarzach chłopskich osadników we wsi Kiela powiatu roszelskiego



— A czy pompa czynna?
To minister Rusinek pompuje wodę. Za nim stoją: wicewojewoda olsztyński Koral, dyr. Rakowski z Min. Pracy i Opieki Społecznej, red. Mitzner i wojewoda warszawski Roth.



— Jak się tu czujecie? — pyta minister Rusinek powodzianina z sochaczewskiego

SPOD tej warstwy ukazało się istotne prawdziwe podglebie społeczeństwa tutejszego, pod glebie z pochodzenia, z ducha i z języka polskie. Ale prawa autochtonów, sprawa ludności warmińsko - mazurskiej nie jest ostatecznie i całkowicie wyjaśniona i załatwiona. Polacy, którzy przyszli tutaj z centrum kraju, aby objąć w posiadanie tę ziemię która jest bezspornie polską, nie byli i nie są historykami. W swym rozpędzie zdobywczym i twórczym nie zawsze traktowali właściwie, nie zawsze rozumieli tego człowieka, którego tu zastali, który przemawiał do nich nieporadną mową polską, niepozbawioną nienawistnego, niemieckiego twardego akcentu i rojącą się nieraz od nienawistnych, twardych niemieckich słów.

Nie wielu z tych ludzi, którzy tu przyszli znało ciężkie koleje życia ludności miejscowej. Niejednokrot nie w stosunku do nich i wobec nich demonstrowali swe uczucia, którymi napełniły ich wobec Niemców czasy wojny i okupacji.

Ten czas groźnego i tragicznego rozdarcia między Polakmi, spotykającymi się na jednej ziemi ,ale przychodzącymi z różnych stron historii — minął już. Ale stan nieufności i niechęci zakrzepł i stwardniał w sposób krzywdzący dla jednych, a ciążący drugim. Stwardniał tym bardziej, że ci, którzy byli tu pierwsi, którzy przybiegli najśpieszniej nie zawsze kierowali się zdrową chęcią zagospodarowania tej ziemi dla siebie i dla narodu. Niejednokrotnie gnała ich tu chęć doraźnej korzyści, kradzieży i rabunku, z których łupy uwozili szybko do domu.

Po tych pierwszych przyszli dopiero ci inni, którzy tu zakładali sobie dom, którzy osiadali na zawsze nie tylko dla siebie, ale i dla swoich dzieci i wnuków. Oni to właśnie nazywają siebie pionierami. Oni są z tych, o których nam mówi gdzieś po drodze wicewojewoda olsztyński Koral.:

— Dziś tę ziemię orzą już końmi i traktorami. Ale jeszcze przed rokiem widzieliśmy, jak matka zaprzęgała czworo swoich dzieci do pługa i tak orali, bo nie mieli innego sposobu.

NIC dziwnego, iż w tych zapamiętałych, twardych oraczach wytworzyła się duma i zaciekłość pojmowania tej ziemi za swoją całkowicie i wyłącznie ze wszystkim, co na niej jest.

Ale ziemia jest zbyt szeroka i zbyt jest jej wiele, aby mogła zadowolić się tymi ludźmi pierwszymi. Na wiosnę tego roku przyjechali ludzie nowi, ci, o których mówiliśmy. Ludzie znad Wisły, ludzie znad rzek środka kraju, szukający spokoju i nowego domu nad brzegami spokojnych, rozległych mazurskich jezior. Nie musieli nikomu odbierać domów, ani też nikomu odbierać ziemi.



Ule trzeba dobrze pilnować, ażeby mieć dużo dobrego miodu

Ziemia i domy czekały na nich.

Tutaj spotkali się Polacy i tutaj ci powodzianie stali się nowym elementem tworzenia się społeczeństwa. Ale społeczeństwo nigdy nie powstaje bez walki wewnętrznej, bez poddania się jednostki interesowi ogółu, bez zespolenia pojedyńczych cząstek w jedną całość. Nie był to już ten spór zasadniczy, spór nieporozumienia o mowę, pochodzenie, obyczaj i wiarę, który tak zaognił na początku stosunki między Mazurami i Warmiakami i nowymi osiedleńcami. Były to spory drobne. Były i są nadal. O jabłoń, o szafę, o miedzę — spory życia codziennego w urządzanym na nowo wspólnym domu.

RAZ i drugi nasza gromadka powołana jest na sędziów w sporach małych i śmiesznych, których nikt najmądrzejszy ani rozsądzić, ani rozwikłać nie potrafi. Nie są to bowiem pieniackie wybryki, ale przejawy fizjologiczne niemal, przyrodnicze zlewanie się jednostek w nowych warunkach, na nowo rozpoczynających życie—w silne i zdrowe społeczeństwo. Te procesy twórcze i wspaniałe mogą być częściowo tylko regulowane i podsycane, ale odbywać się muszą same w ciężkim nieraz starciu charakterów ludzkich, ich codziennych interesów i codziennych, prostych spraw.

Życie tu właśnie jest surowe i proste. Problemy nieskomplikowane ,ale trudne nieraz do rozwiązania. Tutaj zarzucić należy roztrząsanie ekonomiczne i rzekomą mądrość polityczną, gdy się okazuje, że u podstawy leży sprawa sprzężaju, bydła, szyb w oknach, butów dla dzieci na zimę i ziarna na siew.

Może w dziesięciu punktach najwyżej takich właśnie spraw spisać by można potrzeby, o które woła do nas każda wieś i każda zagroda.

Nie wszystkim im możemy sprostać. Piękne, wielkie duńskie konie dobrze się czują w mazurskich stajniach, ale nie starczy ich więcej jak po jednym na gospodarstwo, liczące przeciętnie około 15 hektarów. Nie dla wszystkich starczy krów. I nie wiemy, czy te dwieście par butów. w czym siedemdziesiąt par butów dziecinnych, które tutaj pozostawiamy, załatwi wszystkie potrzeby w tej dziedzinie. Odjeżdżamy niepewni, czy wszystkie dzieci będą mogły zimą chodzić do szkoły.

Jedno jest pewne, że nie może zabraknąć ziarna dla ziemi zoranej, czekającej na siew.

ALE i z tego niedostatku i z tych braków wyrastają nieraz rzeczy dobre i pożyteczne. Ponad sąsiedzkie kłótnie i uprzedzenia wyrasta konieczność pożyczania sobie koni do orki, a z tego już krok do społecznej spólnoty, która wykwita doskonale wówczas, gdy na pola wsi przyjedzie jeden z trzech traktorów, pracowicie uprawiających rolę roszelskiego powiatu.

Gdy odjeżdżamy, czujemy doskonale, że ten traktor, któregośmy nie widzieli, a który jest legendą, ziszczającą się na wsi mazurskiej lepiej spełnia rolę jednoczenia ludzi, którzy tu przyszli z różnych stron i ludzi, którzy tu byli od dawna, w silną jedność — niż wszystkie nasze najlepsze i najgorliwsze wysiłki. My tutaj, my stąd, ze starej ziemi, z miast, możemy im tam tylko pomóc, ale samą największą robotę mogą zrobić i robią tylko sami.

Zbigniew Mitzner



Na rozstajnych drogach Ziemi Mazurskiej

List do Redakcji

NASZA POCZTA

Rozpacz ogarnia człowieka, gdy ma do czynienia z naszą pocztą: przekaz telegraficzny idzie tydzień, tam gdzie teoretycznie winien być doręczony tak, jak depesza, a więc po 2 — 3 godzinach, przekaz pocztowy dwa tygodnie, gdy według zasad logiki powinien przyjść na trzeci dzień (dwa dni manipulacyj i dzień jazdy koleją). Tymczasem rzeczywistość myli wszelkie rachuby.

Dziś mamy 26 sierpnia, a jeszcze zwroty na próżno wysłanych przekazów z Łodzi do Wieńca z 13 (zwykły) i 16 (telegraficzny) nie zostały mi doręczone, mimo, że w Wieńcu na poczcie zostawiłem zlecenie i adres. Niby za co poczta otrzymała 48+117 zł, kiedy nie dotrzymała umowy, która istnieje pomiędzy nią a nadawcą za wykonanie pewnej czynności w określonym czasie? Przecież taka nieobowiązkowość tamuje ogromnie życie gospodarcze, uniemożliwia wszelkie rachuby, wszelkie planowania: dzień w Kudowie czy w Wieńcu kosztuje 1000 zł. Kuracjuszowi przysyłają telegraficznie 3000 zł na trzy dni przed projektowanym dniem wyjazdu, aby mógł wyjechać, a on otrzymuje pieniądze 4 dni później, czyli przez cztery dni musi na nie czekać. Powstaje perpetuum mobile, z którego wybrnąć niełatwo.

Przypominają mi się lata studenckie w Szwajcarii, kiedy bywałem zdumiony sprawności tamtejszej poczty: niewielki pokoik, jeden urzędnik załatwia wszystkie czynności. I nagle wnoszą do tego pokoiku szafę, bez żadnego opakowania. Kupują marki i naklejkę, wypisują na niej adres, i przylepiają z marką na tylnej ścianie szafy; cała procedura trwa minutę. A u nas spróbujcie wysłać najzwyklejszą parokilową paczkę na poczcie łódzkiej; prawie każdą paczkę urzędnik odrzuca, jako źle zapakowaną; koniecznie wymaga kartonowego pudełka, gruby papier i konopne sznurki nie wystarczają; lak nie może być opieczętowany moją własną pieczątką, tylko pocztową; ostatecznie połowa paczek idzie do kiosku pocztowego, który za 50 złotych dokonywa przepakowania. Wytwarza się z tego proceder, nader kosztowny dla kieszeni klientów.

Pamiętam, jechałem na wakacje z Lozanny do Champéry, małej stacji klimatycznej u stóp Dents du Midi. Sprawa skomplikowana: jazda dorożką na dworzec, koleją do jednej ze stacji w dolinie Rodanu (Bex czy Aigle), stamtąd furką w górę do wąskiej kotlinki między górami; wszędzie tragarze, bo walizy ciężkie z książkami... Ile to wszystko będzie kosztować?... Ktoś mi doradził, aby wysłać bagaż pocztą... Zrobiłem tak (poczta była o dwa kroki) i w godzinę potem jechałem wolny, jak ptak pociągiem. Jakież było moje zdumienie, gdy zobaczyłem swoje walizy, z poprzywiązywanymi do nich adresowymi kartonikami, odjeżdżające wraz ze mną ambulansem pocztowym ze stacji do Champéry.

Kiedyś znowuż wyjechałem z Lozanny rano z pewnym inżynierem ko ledą o kilka stacyj. Nagle inżynier-Szwajcar spostrzegł, że zabrał ze sobą przez roztargnienie klucze od gospodarstwa: żona będzie miała zahamowanie w czynnościach gospodarczych. Ale gdyśmy dojechali po paru kwadransach do celu podróży, mój towarzysz kupił na poczcie specjalny kartonik z dziurką obwiedzioną metalem i sznurkiem, napisał na kartonie adres, nakleił na nim markę, przywiązał karton do kluczy (bez żadnego opakowania) i za godzinę, półtorej żona miała klucze, tak, że roztargnienie męża nie przeszkodziło jej przygotować obiad na zwykłą porę.

Taki sam kartonik przywiązuje się z marką 50 centimową do roweru i wstawia się rower samemu do wagonu pocztowego, skąd go się również samemu wyjmuje, bez żadnych kwitków i dowodów. przy czym kosztuje to 50 centimów bez względu na ilość stacyj, chociażby z jednego końca Szwajcarii na drugi. Ta sama procedura zimą z saneczkami górskimi i bobslejami (długie saneczki na kilka osób).

A listy poczty pneumatycznej w Paryżu rozwożone są przez specjalnych gońców na motocyklach, w krótkich odstępach czasu. Za pół godziny list pneumatyczny jest już doręczony adresatowi, podobnie jak depesza.

Wartoby jakąś ekipę pocztową wysłać na przeszkolenie za granicę, aby się wyedukowali na instruktorów nie co szybszego tempa pracy na naszych pocztach. Nie da się bowiem obliczyć w brzęczącej monecie, ile na tym żółwim tempie traci gospodarka krajowa...

Otrzymałem nareszcie zwroty z Wieńca 29.8. Jak widać z daty i stempla, trzy dni przeleżały na poczcie w Łodzi. I kazano mi jeszcze dopłacić za tę przyjemność 39 zł.

Włodzimierz Dzwonkowski
prof. Uniwersytetu Łódzkiego

Karol Małcużyński

MAŁY REPORTAŻ Z DUŻEGO ŚWIATA

SIEDZĄC W PARYŻU SERCEM BYŁEM W WARSZAWIE

Nieuniknionym zupełnie zapytaniem, z którym spotyka się każdy, powracający z zagranicy — wszystko jedno skąd — jest obok informacji, dotyczących kursu dolara na „tamtejszym" czarnym rynku — zapytanie znacznie ogólniejsze, a mianowicie: „Jakże się tam żyje? Czy też taka drożyzna? Bo u nas, proszę pana to...".

Otóż z ową drożyzną jest nieco skomplikowana sprawa i mogą się na tym tle wydarzyć najdziwniejsze nieporozumienia. Jeżeli się chce uczciwie przeprowadzić porównanie, to trzeba się dobrze zastanowić i przede wszystkim wybrać jakiś wspólny miernik, wspólny wskaźnik cen w dwóch, porównywanych krajach.

W całej Europie, wyniszczonej przez wojnę panuje — powiedzmy sobie szczerze — chaos walutowy, a w wielu krajach kursy oficjalne walut zagranicznych są zupełnie księżycowe i nie odpowiadają istotnej sile kupna. Z drugiej strony obok kursów oficjalnych istnieją jeszcze „dyplomatyczne", „turystyczne" i zgoła niedyplomatyczne czyli po prostu czarnorynkowe. Niektóre kraje prowadzą wolnorynkowe, oficjalne notowania obcych walut. Wychodzi z tego wszystkiego taki galimatias, że przy odrobinie cierpliwości można przy pomocy podobnych przeliczeń udowodnić, że 1000 równa się 5000 oraz, że się jest swoim własnym dziadkiem.

Przyjęło się na ogół uważać za ów wspólny miernik — wolnorynkowy czy też — uczciwszy uszy — czarnorynkowy kurs dolara. Będziemy musieli i my z konieczności do tego się uciec — jako do najmniejszego zła, ale pamiętajmy, że to bardzo zawodne kryterium. Na czarnym rynku kurs dolara podlega częstym zmianom i wahaniom, niezależnym często od zmiany jego realnej siły nabywczej, a od czysto lokalnych przyczyn. Przyczyn nieraz najzupełniej tajemniczych i wkraczających w dziedzinę czystego absurdu.

Do końca życia nie zapomnę miny, jaką zrobili moi koledzy dziennikarze amerykańscy, gdy im kiedyś opowiedziałem, że taka na przykład mowa Churchilla w Fulton lub Byrnesa w Stuttgarcie miała poważny — choć chwilowy — wpływ na cenę masła i kurs dolara w Polsce.

Powiedzieć, że byli zdumieni — to mało. Podejrzewali początkowo, że z nich kpię. Próbowałem więc wyjaśnić, co, jak i dlaczego. (Przyznam się, że szło mi to z trudem, bo sam nie bardzo rozumiałem). Nie rozumieli, nie mogli zrozumieć. Patrzyli na mnie szeroko otwartymi oczami. To wszystko było zupełnie poza zasięgiem ich pojęć, ich wiadomości o ekonomii, ich wyobraźni.

Dolar należy do przemówienia Churchilla? Nie! Pomijając już argumenty ekonomiczne, taki fakt bardzo podrażnił ich dumę narodową.

Z wielkimi więc zastrzeżeniami przyjmiemy ten niepewny i kapryśny miernik, jakim jest cena dolara na wolnym rynku.

Otóż — na temat drożyzny w Paryżu, najlepiej chyba odpowiem, podając po prostu szereg cen.

Przede wszystkim trzeba państwu wiedzieć, że w Paryżu do dziś dnia obowiązuje ścisła reglamentacja żywności. Teoretycznie rzecz biorąc, nabywanie produktów żywnościowych, poza tym co się dostaje na kartki — jest przestępstwem. Coś tak, jak u nas podczas wojny, kiedy to za biały chleb groziła kara śmierci. A przecież przekupki z pełnymi koszami tego zakazanego towaru stały na każdym rogu ulicy.

Prawo, które nie liczy się z koniecznościami życia, jest nierealne, nie da się utrzymać. Jest przy tym niemoralne, gdyż zmusza społeczeństwo do łamania go, przyzwyczajając tym samym do łamania prawa w ogóle.

Skoro więc w Paryżu jest ścisła reglamentacja żywności, a jednocześnie wydawane racje nie stoją w żadnej proporcji do istotnych potrzeb — powstaje rzecz jasna — czarny rynek.

Francuzi kupują więc po staremu masło u swego fryzjera, a cukier u krawca. Mają w swojej dzielnicy, w swoim quartier zaufane sklepy, gdzie im spod lady albo z sąsiedniego składziku „patron" wyciągnie szynkę i odważy, oglądając się na boki.

Wynikają z tego różne przykrości. Po pierwsze cudzoziemiec, który nie ma tak zwanych po warszawsku „chodów", skazany jest na stołowanie się w restauracjach — o czym po tym. Ale nawet stali mieszkańcy Paryża narażeni są nieraz na wielkie kłopoty. Zdarzają się takie dni, a nawet tygodnie, kiedy za ż a d n e p i e n i ą d z e nie mogłeś w Paryżu dostać cukru. Tu już nie chodziło o zaufane źródło lub o cenę. Całkiem po prostu cukru n i e b y ł o. Choćbyś stanął na głowie — nie dostałeś ani grama.

Teraz ceny. W okresie, gdy byłem w Paryżu, kilogram cukru kosztował około 300 franków, co na „prawdziwe pieniądze" — jak Amerykanie nazywają swój dolar — tłumaczyło się — przeszło 1 dolar. Kilogram masła kosztował przeszło 2 dolary. Inaczej mówiąc, ceny żywności były takie, jakbyśmy dzisiaj musieli u nas za cukier płacić 800—900 złotych za kilogram, za jajko 70 — 80 złotych, za litr mleka — 150 złotych. Tak źle u nas przecież nie jest i dlatego możemy powiedzieć, że we Francji życie jest drogie, bardzo — drogie.

Dodajmy jeszcze do tego, że to wszystko wprowadziło nas w kolizję z prawem. Sytuacja nieprzyjemna.

Restauracja zaś — pożal się, Boże! Są tak zwane oficjalne obiady. W tym celu podzielono nawet wszystkie restauracje, kawiarnie, „bistro" czy po naszemu knajpy, na szereg kategorii. Zaczynało się od luksusowych, gdzie obiad kosztował 125 franków — około pół dolara — i gdzie obsługiwało cię pięciu kelnerów i dwóch boyów. Jeden podawał zupę, drugi pędził z ogrzanym talerzem, trzeci czatował z drugim daniem, czwarty nalewał wino, piąty pętał się w okolicy w nieznanym bliżej celu. Byłeś zdumiony, gdyż na tych śnieżnych obrusach, pięknej porcelanie i w luksusowym lokalu dawali ci do zjedzenia mizerny rosołek (bez niczego w środku, bez żadnych „kluseczek" i „makaroników") na drugie dużo sałaty i kawałek kości, z której przy dobrym wzroku i dużej dozie cierpliwości mogłeś wykrajać odrobinę jakiegoś mięsiwa, na trzecie dostawałeś parę łyżeczek kwaśnego kompotu.

Trudno — mówisz sobie — przynajmniej tanio, no i luksusowo.

Jakiż przykry zawód przy rachunku! Obiad wprawdzie kosztuje 125 franków, ale za obrusy, pięciu kelnerów i złocony sufit dopłacasz „taxe de luxe" — podatek luksusowy w wysokości 60 procent. Następnie płacisz 300 do 500 franków za wino — do tego dochodzi znów „taxe de luxe". — Nie jesteś wprawdzie do wina obowiązany, ale spróbuj w t a k i m lokalu nie zamówić go. Zniszczą cię, zmiażdżą, unicestwią jednym spojrzeniem: pięciu kelnerów, dwóch boyów, sam szef sali i na dodatek panienka z szatni. Sumujesz teraz to wszystko, doliczając ci 15 procent za usługę — bo tyle się we Francji płaci. Rachuneczek za urzędowy obiad — najskromniej licząc 700, 800, 1000 franków — czyli 4 dolary.

Wychodzisz głodny, zły i przed wyjściem... Musisz zostawić napiwek — sakramentalny, wszechwładny, nieznieszczalny jak Francja — „pourboire". Patrzy przecież na ciebie: pięciu kelnerów, dwóch boyów, sam szef sali i na dodatek panienka z szatni.

Możesz oczywiście odwiedzić inne lokale: począwszy od kategorii A, skończywszy zaś aż na D — bo tyle ich jest. Będziesz jadł na coraz to brudniejszych obrusach, będziesz obsługiwany przez coraz to mniejszą ilość osób i będziesz jeszcze głodniejszy — o ile to możliwe. Przyznam się Państwu, że do „D" nie dotarłem. Jadałem natomiast w kategorii „B", gdzie obiad kosztuje teoretycznie 65 franków. Zaoferowano mi tez trzy dania. Na pierwsze „Sałatka z buraków" — czyli inaczej mówiąc — dwa plasterki tej zacnej jarzyny w occie, następnie „filet" ze śledzia — po naszemu dzwonko i to niewielkie, oraz na deser... rajskie jabłuszko, wielkości laskowego orzecha. Czy Państwo się dziwią, że nie zeszedłem jeszcze „niżej", że poprzestałem na „B"?

Oczywiście można dostać tak zwane „supplement" — potrawy uzupełniające. Kosztuje to drobiazdżek — 250 — 300 franków, a więc dwa, trzy razy tyle, co cały obiad w luksusowej restauracji.

Znane jest przysłowie o tym, że droga do serca mężczyzny wiedzie przez żołądek. Otóż mogę Państwa zapewnić, że siedząc w paryskiej restauracji, byłem całym sercem w Warszawie.

Nowe książki

Tadeusz Dołęga - Mostowicz — Kariera Nikodema Dyzmy. Wznowienie książki Mostowicza, w której autor maluje niezwykle realistycznie środowisko sanacyjne przedwojennej Polski, cały rozkład moralny ludzi rządzących krajem w okresie „drugiej niepodległości" — jest godne pochwały. W książce tej bowiem spotykamy tak niestety i dziś aktualne — typy spekulantów, dorobkiewiczów i różne typy „niebieskich ptaków". Powieść w całości stanowi wartościową i przyjemną lekturę.

Wydawnictwo „Literatura Polska", Katowice 1947, str. 338.

Antoni Trepiński — Potępieńcy. Sąd Wieków nad Niemcami. Przeszło 200-tu autorów składa się na tę bogatą księgę, obejmującą głosy polskie o Niemcach — od zarania dziejów, aż do współczesności. Najważniejsze i najciekawsze materiały z historiografii, różnych dziedzin nauki i literatury pięknej zostały tutaj uwzględnione. Jest to książka o zacięciu publicystycznym, przedstawiająca obraz myśli politycznej — wiekowej myśli o Niemcach — nieprzeciążona naukowością, choć nią rzetelnie uzupełniona. Książka do przeczytania dla wszystkich — uświadamiająca, uczaca nade wszystko czujności, zbrojąca do walki z odwiecznym niebezpieczeństwem. Krzepi, wzmacnia, podaje różnorodny materiał do przemyśleń, przejmuje ciężar problematyki sąsiedzkiej dwu wrogich państw i narodów, również nie pozbawiona jest zdrowego humoru. Układ chronologiczny autorów umożliwia śledzenie rozwoju myśli polskiej o Niemcach, czyni książkę przejrzystą w jej charakterze historycznym.

Dodatek ilustrowany uzupełnia antologię tekstów zwięzłym przeglądem tematyki w malarstwie polskim i karykaturze. Wydawnictwo — Księgarnia Ludowa T. Lemański, Łódź, str. 543. Okładkę projektował Zygmunt Lorec.

Jan Brzechwa — Palcem w bucie. Zbiór wierszy satyrycznych. Okładkę projektował A. Bowbelski, str. 80. Spółdzielnia Wydawnicza „Książka", 1947.

Aleksander Dumas — Trzej muszkieterowie. Powieść historyczna z XVII wieku w tłumaczeniu Stanisława Sierosławskiego. Okładkę projektował Józef Rachwalski, str. 680. Spółdzielnia Wydawnicza „Książka", 1947.

Włodzimierz Lenin — Imperializm jako najwyższe stadium kapitalizmu. Popularny szkic z cyklu „Biblioteka klasyków Marksizmu, str. 130. Spółdzielnia Wydawnicza „Książka".

Juliusz Słowacki — Balladyna. Z cyklu „Biblioteka Pisarzy Polskich i Obcych". Opracował prof. Stanisław Furmanik, str. 212. Spółdzielnia Wydawnicza „Książka", 1947 r.

Franciszek Zabłocki — Sarmatyzm. Z cyklu „Biblioteka Pisarzy Polskich i obcych". Opracował prof. Kazimierz Czachowski, wstęp Zdzisława Libery, str. 172. Spółdzielnia Wydawnicza „Książka", 1948 r.

Vademecum lekarza praktyka. Wygodny format kieszonkowy. Opracowali: dr T. Chęciński, dr S. Dobrzyński, dr. J. Kalisz, dr. Wł. Kulesza, dr. M. Landsberg, dr. L. Lenczewski, dr. Al. Leśniewicz, dr. Mączyński, dr. J. Muszyński, dr. T. Pawlikowski, dr. J. Perl - Pertyński, dr. J. Rutkowski, dr. Fr. Skibniewski, dr. B. Wróblewski, dr. B. Zabłocki, dr. K. Zawadzki, dr. J. Żurkowski, str. 716. Spółdzielnia Wydawnicza „Książka", 1947 r.



„KOCHANOWSKI: Moja Urszulka, moja Safo słowieńska chora! Trzeba sprowadzić doktora Hiszpana, dobrze znanego czytelnikom z moich fraszek (telefonuje). Hallo, czy to doktór Hiszpan? SOS! — **DOKTOR HISZPAN:** Ależ naturalnie, wszystko będzie jak najlepiej. Dostałem właśnie paczuszkę penicyliny. Urszulko, nie bój się strzykawki. — **KOCHANOWSKI:** Chwała Bogu i penicylinie! Moja Urszulka, moja Safo słowieńska znowu żyje i znawu improwizuje. Ale co teraz będzie z „Trenami"?" — Tę opowiastkę, ozdobioną czterema rysuneczkami, znajdujemy w „Przekroju" (Nr 126). Ktoś może się oburzyć, kto inny powie: niesmaczne. Co do nas, jesteśmy zdania owego organisty, który, bakałarzując w szkółce wiejskiej, pouczał swych wychowanków, że jeśli się coś mówi, trzeba mówić tak, żeby był i „sans i kadencyja".

GDY SIĘ OGLĄDA zespół baletowy Moisiejewa, który w ubiegłym tygodniu dwukrotnie wystąpił w Warszawie, wiele myśli przychodzi do głowy, wiele wrażeń napastuje zmysł wzroku i słuchu. Rosjanie mają ustaloną sławę znakomitych tancerzy. Taneczność jest ich zdolnością przyrodzoną, podobnie jak muzykalność, bez której taneczność nie mogłaby istnieć. „La musique est un art d'ensemble" — muzyka jest sztuką zespołową — zauważył jakiś mądry Francuz. Rytm muzyczny zestraja osobniki ludzkie w zespoły, w grupy taneczne. Te zespoły i grupy mogą powstawać żywiołowo, spontanicznie, elementarnie — odruchowo na dźwięk muzyki, na dźwięk najprostszej kapeli, kiedy to „dziewki chcą tańczyć, chłopcy w miejscu nie dostoją". I wówczas mamy tańce ludowe, tańczone wszędzie, jak świat długi i szeroki, częstokroć w toku samego pląsania improwizowane, gdy ten lub inny, bardziej zgrabny, zwinny i akrobatyczny tancerz, uczyni jakiś nowy, niezwykły krok taneczny, skok, ruch, obrót lub gest, który wywoła zadziwienie reszty tancerzy i zachęci do współzawodnictwa do prześcignięcia tamtego w sztuce tanecznej. Widzieliśmy takie wyczyny i w zespole Moisiejewa, zwłaszcza w „tańcu rosyjskim" („russkije pierieplasy" czyli przepląsy albo naprzeciwpląsy) oraz w ukraińskich „wiośniankach", gdy jeden przez drugiego wysila się tancerz na coraz wymyślniejsze, coraz bardziej junackie, zuchwałe, cyrkowe niemal ewolucje. Ale balet, ale choreografia nie polega na powtarzaniu i naśladowaniu tancerstwa ludowego, lecz na opracowaniu jego artystycznym, na poddaniu „improwizacji" tanecznej ścisłym prawom i trudnej szkole, wreszcie na stylizacji. Zdaje się, że inicjatorem nowoczesnej choreografii był Dalcroze, jako twórca nowego systemu pedagogiczno-muzycznego, zasadzającego się na „gimnastyce rytmicznej", z której się rozwinął z kolei system taneczny, oparty na swoistym rytmie ciała. Rytm — powiadają uczniowie i następcy Dalcroze'a — to kościec wszelkiego zespołu: czy to w pracy, czy w tańcu — tylko za pomocą rytmu da się zbiorowisko ludzkie przemienić w zespół czyli w organizm, sprawnie działający. Zdaje się, że jeden z twórców nowoczesnego baletu rosyjskiego — Sergiusz Diagilew (1872 — 1929) dużo zawdzięcza Dalcroze'owi. Tak można sądzić na podstawie dzieł Sergiusza Wołkońskiego, teoretyka rosyjskiej sztuki choreograficznej. Balet Moisiejewa pielęgnuje i doskonali tradycje choreograficzne Dalcroze'a — Diagilewa, szczęśliwie uzupełniając je nowymi pierwiastkami, mianowicie — orientalnymi, wprowadza bowiem do programu swych tańców ludowych tańce mongolskie, bucharskie, dżungarskie, adżarskie, nanajskie itp., czyli tańce narodów azjatyckich ZSRR. Wnoszą one egzotykę, zmysłowość, tajemniczość, jakiś niepokój uczuć, który niełatwo określić, jakąś burzliwość — inną niż europejska. Są piękne bardzo. I piękne są tańce białoruskie i rosyjskie, mołdawskie i polskie, wystylizowane, wysubtelnione sekretem rytmiki zespołowej. Każdy z członków zespołu Moisiejewa — a widzieliśmy ich kilkudziesięciu — jest artystą.

ST. ŁATKA

ZASŁUŻONY PIONIER SPÓŁDZIELCZOŚCI POLSKIEJ

W TRZECIĄ ROCZNICĘ ZGONU PROF. MARIANA RAPACKIEGO

Nie lubiłem Ciebie, o Warszawo,
Gdyś oślepła od blasku neonów,
Swoich świateł grała łuną krwawą
Ogłuszając porykiem klaksonów.

Aż nadeszły straszne dni wrześniowe.
Strach obłędny szedł w pogromu tropy,
I ujrzałem Cię wówczas, Warszawo,
Gdyś szła kopać przed wrogiem okopy.
Sama jedna z zaciętym uporem
Wobec wrażej stanęłaś nawały
„Jeśli ginąć, to ginąć z honorem".
Wtedy, wtedy o Miasto Wspaniałe,
Za Twe męstwo, za Twą duszę prawą
Całą duszą, sercem swoim całym
Pokochałem Ciebie, o Warszawo.

Dziwne wydać się może cytowanie na wstępie wspomnienia o wybitnym teoretyku i działaczu spółdzielczym — Marianie Rapackim wyjątków z jego wiersza o Warszawie. Dlaczego to czynię? Bo Rapacki, choć urodził się i szkołę skończył w Sieradzu, choć kształcił się później za granicą w Lipsku i w Anglii, pracą swoją, choć promieniowała ona na cały kraj, związany jest z Warszawą.

Tu ją rozpoczął w 1920 roku jako redaktor „Społem" i „Rzeczypospolitej Spółdzielczej", tutaj po śmierci Romualda Mielczarskiego przez lat osiemnaście był prezesem Zarządu Związku „Społem", tutaj wykładał spółdzielczość w Wyższej Szkole Handlowej, zjednując dla głoszonej idei entuzjastów, tutaj wreszcie zginął. Dla niej, dla tej głodnej i walczącej wbrew nadziei, ale bohaterskiej, w ogniu rozrywających się pocisków organizował w 1939 roku aprowizację. Oddawszy się do dyspozycji prezydenta Starzyńskiego, zdobywał i rozdzielał żywność, aby podtrzymać siły broniących wolności żołnierzy bez mundurów—cywilnej ludności stolicy. Krzyż Walecznych był jedynym odznaczeniem wojskowym, jakie zgodził się kiedykolwiek przyjąć.

Dla Warszawy, i znowu w trosce o jej wyżywienie pracował podczas Powstania. Przy tej pracy zaskoczyła go śmierć. Mocno musiał pokochać walczącą stolicę, skoro czuł potrzebę przelania uczucia w formę poetycką. Zdarzyła mu się już przedtem rzecz podobna, gdy umiłowanie całego życia, cel ćwierćwiekowej działalności — spółdzielczość, a raczej jej ideę zamknął w miarę wierszową „Hymn Spółdzielców".

Rapacki nie był poetą. Ale jego bogata indywidualność, przejawiająca się w tylu rodzajach działalności, w publicystyce, pracach teoretycznych na tematy spółdzielcze, w organizowaniu, w wykładach i pracy wychowawczej, w chwilach silnych wzruszeń, gdy chodziło o rzeczy bardzo mu bliskie, pragnęła widocznie innego, odmiennego od codziennych, wyrazu.

Prezesurę po Mielczarskim piastował godnie, nie tylko nic nie uronił, ale pomnożył zdobycze organizacyjne tamtego. Wiedzę ekonomiczną i prawną posiadał ogromną. Zadziwiał śmiałością, logiką i precyzją myśli, umiejętnością przewidywania, praktycznością podchodzenia do różnych zagadnień. Te cechy jego umysłowości występowały w pracach teoretycznych na tematy spółdzielcze, których napisał wiele. Najbardziej znany wśród szerszego społeczeństwa, gdyż stał się przyczyną wielkiego hałasu w prasie sanacyjnej i kilku procesów był „Program gospodarczy spółdzielczości spożywców", ogłoszony w 1936 roku.

Program ten, którego realizację uważał Rapacki za warunek i sposób wyciągnięcia Polski z trwającego na całym świecie kryzysu, głosił upaństwowienie lub uspołecznienie przedsiębiorstw użyteczności publicznej oraz wielkiego przemysłu, funkcje gospodarcze dzielił pomiędzy sektory: państwowy, społeczny (samorządy), spółdzielczy i prywatny (drobne warsztaty rzemieślnicze, przemysłowe i handlowe, które mogą działać dzięki pracy właściciela). Głównym zadaniem spółdzielczości miała być produkcja, rozdział, zakup i zbyt artykułów spożycia. Ten bardzo pobieżny przegląd pozwala jednak ocenić, ile odwagi i obiektywizmu mieścił w sobie plan Rapackiego. Oczywiście, w państwie kapitalistycznym, jakim była Polska przedwrześniowa, nie mogło być mowy o wcieleniu go w życie. Mimo to olbrzymia większość „Społem" przyjęła tezy Rapackiego jako program przyszłości.

Zdolności i wykształcenie Mariana Rapackiego jako spółdzielcy teoretyka i praktyka cenione były wysoko nie tylko w kraju, ale i za granicą. Kontakt z nią utrzymuje stale, wyjeżdżając na posiedzenia Komitetu Wykonawczego Międzynarodowego Związku Spółdzielczego, którego jest jednym z siedmiu członków.

Mimo wysokich stanowisk, jakie zajmował, Rapacki był człowiekiem niezwykle skromnym. Znany jest jego artykuł „Tytułomania", w którym występuje przeciw wszelkim tytułom. Radykalizm swój posuwał do tego stopnia, że nawet te zdobyte pracą naukową uważa w życiu codziennym za zbędne. Był demokratą rzeczywistym, nie tym w przemówieniach i artykułach, od święta, ale na codzień. Każdy „społemowiec", jakikolwiek wykonywał w instytucji funkcję, wiedział, że w każdej chwili może mieć dostęp do prezesa. Rapacki rozmawiał z każdym, wysłuchiwał trosk, radził. Nie dbał o dystans między sobą a podwładnym. A właściwie nie uznawał terminu „podwładny", według niego każdy wykonywał taką pracę, do jakiej predystynowały go uzdolnienia, wykształcenie, chęci, ale każda nawet najskromniejsza funkcja była ważna i równorzędna, ponieważ potrzebna była dla całokształtu roboty. Ten koleżeński stosunek do pracowników nie obniżał jednak w niczym autorytetu, jaki posiadał Prezes. W stworzeniu atmosfery serdeczności i koleżeństwa, pomagał mu osobisty czar. Był inicjatorem wielu imprez o charakterze towarzyskim wśród pracowników „Społem". W prywatnych rozmowach dyskutował chętnie na tematy związane z literaturą i sztuką ze znawstwem i zamiłowaniem rzadkim u prawnika i ekonomisty.

O Rapackim tak pisze jeden ze spółdzielców: „Wiele pięknych, urlopowych, letnich okresów spędziliśmy w różnych wspaniałych okolicach naszego kraju, w górach, nad morzem, nad jeziorami, w lasach. Stworzyliśmy sobie kiedyś wspólnie, w złych czasach, spółdzielnię letniskową pod nazwą „Promień słońca". Spółdzielnia i jej nazwa były pomysłem Rapackiego. Była to instytucja prawdziwej samopomocy koleżeńskiej, przez którą przeszło wielu działaczy spółdzielczych, zachowując najmilsze w życiu wspomnienia. Ekonomicznie, oszczędnie, w spólnocie gospodarki rodzinno-domowej spędzaliśmy parę tygodni odpoczynku zawsze w promieniu słońca, choćby w rzeczywistości go nie było, choćby przysłaniały je czarne chmurzyska. Było nam miło, dobrze, zwłaszcza, kiedy był z nami Rapacki, który zawsze umiał całe towarzystwo zabawić, zainicjować wycieczkę, grę, nawet tańce. I nigdy nie trzeba było do tego wódki i żadnej libacji, z którą się tak często wiąże zabawa. I trzeba zaznaczyć, że w tej spółnocie pn. „Promień słońca" spotykali się różni ludzie, różnych przekonań politycznych, różnych poglądów i ugrupowań społecznych, różnych upodobań osobistych, różnego wykształcenia i różnego wychowania. Wszystkim tam było dobrze z Rapackim. Mam wrażenie, że Rapacki był, jak to się mówi, wielkim czarodziejem dusz ludzkich. To nie jest łatwo w życiu codziennym zdobyć życzliwość ludzką. Zwłaszcza, wówczas kiedy się jest na takim czy innym odcinku spraw życiowych przywódcą. Zazdrość, zawiść czepiają się w równej mierze wszystkich. Ale Rapacki nie miał ludzi nienawistnych, ludzi zawistnych".

W trzecią rocznicę śmierci Rapackiego spółdzielcy polscy jednoczą się w głębokim żalu, że takiego właśnie człowieka nie stało w pracy nad odbudową gospodarczą zniszczonego wojną kraju, w pracy nad nowym ustrojem.

SPÓŁDZIELCY ZAKŁADAJCIE WŁASNE BIBLIOTEKI

SEPIONIZM

Paweł Jasienica, publicysta „Tygodnika Powszechnego", i major Włodzimierz Brus, publicysta „Polski Zbrojnej", toczyli na łamach swych pism pojedynek o uniwersalizm. Jasienica ujął swoje stanowisko w słowach: „Śmiem się mienić wyznawcą uniwersalizmu czyli konieczności podporządkowania świata między — i ponadnarodowemu rządowi". Na to mjr. Brus krzyżową sztuką rozłożył „wszelakiego rodzaju rzekomych uniwersalistów i internacjonalistów — głosicieli hasła Stanów Zjednoczonych Europy czy Stanów Zjednoczonych świata"; wedle mjr. Brusa ci uniwersaliści i internacjonaliści to zakapturzeni zwolennicy planu Marshalla — „herołdowie dolara", a ich internacjonalizm jest w gruncie „reakcją". Na to Jasienica: „Kiedy się ktoś przed wojną odezwał o internacjonalizmie, kołtuneria wyła: miazmaty! Dzisiaj w analogicznym wypadku krzyczy się: reakcja! Jakże niewiele zmieniło się na świecie". Na to mjr. Brus zażyje nowego sztychu. Jasienica odbija go młyńcem — i tak szastu — prastu można do zmęczenia albo do znudzenia.

Gdyby mnie powołano na rozjemcę w tych zapasach, rozstrzygnąłbym je wnet: oświadczyłbym, że obydwaj szermierze są uniwersalistami, tylko każdy innym, przy czym żaden nie chce otwarcie wyjawić, co przez swój uniwersalizm rozumie, natomiast zarzuca jeden drugiego niepotrzebnie słowami. Obydwaj postępują jak Talleyrand, który utrzymywał, że mowa służy do ukrywania myśli. Ale mądrzej zauważył Goethe: „Mit Worten lässt sich trefflich streiten, mit Worten ein System bereiten" — słowami można szermować, można ze słów budować całe systematy. A jakiż pożytek z papierowych systematów?

Po prawdzie, gdy dwaj rozprawiacze przystępują do dysputy, powinni ją rozpoczynać lojalnie na sposób, tak powiedziawszy, sokratyczny. Słowa w każdym języku miewają treść względną, płynną, rozciągliwą i wieloraką. Dlatego Goethe potępia puste szermowanie nimi. Dlatego można mówić o „słowach bez pokrycia", o czczym werbaliźmie. Jeżeli powiem: „księga stoi na półce" i „filozof czyta w księdze natury", zmieniam treść słowa „księga", i mój oponent wystawiłby sobie smutne świadectwo, gdyby mię chciał przekonywać, że mówię głupstwa, bo natura nie jest księgą. Jeżeli zaś będę powtarzał: „budujemy radośnie zręby nowej rzeczywistości" — popadnę w werbalizm czyli próżnomówność, za którą oponent powinien mą przygwoździć.

Sokrates znał te właściwości, te niedostatki, mowy ludzkiej. Toteż zaczynał spory zasadnicze od propozycji, ażeby dysputanci porozumieli się co do znaczenia, jakie nadają słowu — pojęciu, będącemu przedmiotem rozprawy. Chcecie dyskusji o pobożności — pytał — o dobru, o męstwie, o tchórzostwie, o pięknie, o wiedzy, o rozwadze, o rządzie itp., o ich roli w życiu jednostki czy ogółu? Zgoda. Ułóżmy się jednak naprzód, jaką zawartością wypełnimy te słowa, przedyskutujmy to, dojdziemy do jakiegoś obowiązującego nas wyniku, i dopiero potem zajmijmy się funkcją społeczną, narodową, filozoficzną, polityczną itd. tych pojęć, już przez nas ustalonych i udokładnionych. Na tej drodze dyskusja może się rozwinąć pożytecznie i życzliwie; jakbyśmy dziś rzekli — „w atmosferze wzajemnego zaufania"; albo może się też okazać, że jest zbędna, bo skoro doszliśmy do porozumienia, co dawne „słowo" (logos) dla nas znaczy, poco tracić czas na jałową gadaninę? Wypijmy lepiej czarę wina cypryjskiego, które rozwesela serce, popatrzmy, jak zachód słońca złoci marmury Partenonu: więcej się tym duchowo zbogacimy, niźli kłócąc się o rzeczy jasne i proste. Jasienica i Brus nie poszli drogą sokratyczną: nie umówili się uprzednio, co będą rozumieć przez słowo „uniwersalizm". Nie tylko każdy z nich wlewa w nie inną treść — jeden powiada: „podporządkowanie świata między- i ponadnarodowemu rządowi", drugi — „internacjonalizm" i „reakcja", ale dyskusja ich stała się pospolitym sepionizmem, wielce dziś zresztą rozpowszechnionym.

Oto oryginalne słowo: sepionizm! Należałoby mu dać — raczej przywrócić prawa obywatelstwa. Wynalazł je przed wojną któryś z naszych świetnych felietonistów, nie pamiętam: Nowaczyński czy Słonimski. Głowonóg sepia, po polsku atramentnica albo mątwa (od; mącić), ma pod spodem ciała worek z czarniawym płynem; gdy atakuje zdobycz lub uchodzi przed napastnikiem, wypuszcza z worka ciecz i nielojalnie mąci nią wodę. Zdaniem owego felietonisty, ludzie mają zwyczaj, posługiwać się w dyskusji metodą sepii: umykają się, nie dopowiadają swych myśli, zacierają za sobą ślady, wywracają koła ogonem, sypią piaskiem w oczy, mieszają pojęcia, łapią przeciwnika za słówka, przypisują mu to, czego nie powiedział, dezorientują go, pomawiają nieraz o brzydkie rzeczy, posądzają o to i owo, nie cofają się czasem przed insynuacją, niekiedy przed pogróżką... Wszystkie takie i im podobne chwyty dyskusyjne określa się mianem sepionizmu, którego skala, jak widzimy, jest szeroka.

Z pewnością mjr. Brus sprawił się sepionistycznie, mieszając pojęcie uniwersalizmu z internacjonalizmem i reakcją, tudzież podejrzewając, jakoby Jasienica był „herołdem dolara". Tak nie jest. Ale i Jasienica nie ustrzegł się sepionizmu, albowiem umkliwie nie dopowiedział swych myśli. Bo cóż może znaczyć „podporządkowanie świata między— i ponadnarodowemu rządowi"? Mętne to bardzo. Same przez się powstają pytania: co to za rząd? z kogo ma się składać? w jaki sposób podporządkuje sobie świat? czy świat przez to stanie się jednym państwem — rzeczywiście jakimiś Stanami Zjednoczonymi, może według wskazówek Brianda albo Coudenhove - Kalergis?

Powiedziałem, że mogę być rozjemcą między Jasienicą a Brusem. Doprawdy. Myślę, że obydwaj są uniwersalistami, tylko każdy innym. Gdyby nie trapiący nas wszystkich sepionizm, Jasienica wyspowiadałby się: jestem uniwersalistą katolickim, chcę podporządkować świat jednemu rządowi, wzniesionemu ponad wszystkie narody — Kościołowi czyli Stolicy Apostolskiej. Na to Brus wywnętrzyłby się: jestem uniwersalistą marksistowskim, chcę podporządkować świat jednej władzy zwierzchniej — międzynarodowemu proletariatowi. I nie byłoby między nimi dyskusji, bo nie doszliby do porozumienia na modłę sokratyczną. Mimo to mogliby się rozejść życzliwie, jak „dwa na słońcach swych przeciwne bogi", a to dlatego, że — choć się różnią w poglądzie na uniwersalizm czyli „jedność świata", świat niezaprzeczenie dąży do jedności. Jedność jest celem, wytkniętym mu przez jego dotychczasowy rozwój. Technika, lotnictwo, kino, radio, telewizja, w najbliższej przyszłości energia atomowa, wspólne interesy gospodarcze — to są czynniki, które doprowadzą świat do jedności, aczkolwiek może się wydawać, że katastrofalne wojny powstrzymują bieg świata ku niej! Przeciwnie, one sprzyjają idei jedności, jak przed dwudziestu wiekami sto lat wojowania zakończyło się — w malutkim coprawda zakresie — zespoleniem świata antycznego w „Pax Romana", która mu zapewniła długotrwały pokój, rozkwit i wolność wszystkich, pod jej opieką pozostających.

Historia się nie powtarza. I rozwiązanie jedności świata nie nastąpi według wzorów przeszłości. Próbne Ligi Narodów, ONZ czy UNESCO, acz niedoskonałe, dowodzą jednak, że ludzkość szuka wspólnego języka, którym by się mogła porozumieć — nie sepionistycznie, lecz najzupełniej szczerze. Trzeba wierzyć, że nie będzie to język ani „polityczny" ani „wyznaniowy", lecz język wysokiej etyki międzynarodowej i kultury, religijny w tym sensie, jaki ma wyraz „religia", jeśli jego źródłosłów wyprowadzimy od „religare", co znaczy: wiązać, łączyć.

JERZY WYSZOMIRSKI

JANUSZ ODROWĄŻ

DROBIAZGI

WŚRÓD CZASOPISM

Mam pisać. Bielutki papier, świeżo zatemperowany ołówek... Nie ma rady, trzeba zacząć.

Ale po szybie łazi osa. Dobra jest, jeszcze sobie trochę na tę osę popatrzę... Poleciała, psia krew! Co by tu teraz?... Aha, z kuchni dochodzi rozmowa. Nie, nie rozmowa. Raczej monolog. To nasza gosposia do żony:

— Bo to, proszę pani, nie wszyscy jednakowo. Na ten przykład Wikta od Michcińskich powiada, że tylko „Ekspress", „Życie Warszawy", „Głos Ludu"... „Kuźnicy", ani „Odrodzenia", do ręki nie weźmie! A ja inaczej. Dla mnie tylko „Kuźnica", „Odrodzenie", „Nowiny Literackie", „Tygodnik Powszechny"... „Przekrój" i „Tydzień" też dobre, ale najlepszy ten „Kraj"...

Zbliżyłem się na palcach do drzwi kuchni. Słychać było jakieś ciche trzaski.

— Tak, „Kraj" najlepszy — dowodziła gosposia. — Widzi pani? Od razu chwyta! Nawet przy takim kiepskim cugu! A swoim porządkiem zduna trza będzie zawołać...

DZIWNE NAZWY

Od pewnego czasu czytamy w prasie duże ogłoszenie Państwowej Fabryki Chemiczno - Farmaceutycznej w Poznaniu. Fabryka ta zawiadamia nas, że produkuje dwa środki opatrunkowe: „Hansaplast" i „Leukoplast".

Nazwy dziwnie znajome i miłe dla ucha Polaka. To po łacinie, prawda?

KRYTYKA I ŻYCIE PRAKTYCZNE

Byłem kiedyś ze znajomym krytykiem w pewnym kabarecie literackim. Krytyk bardzo chwalił program, że błyskotliwy, dowcipny, że na najwyższym poziomie. Co chwila uśmiechał się łaskawie. I reszta widzów tak samo.

Potem poszliśmy na kawę. W kawiarni występowała para tancerzy groteskowych. On, niby to, mąż, a ona teściowa.

To było bezdennie głupie, ale wyliśmy wprost ze śmiechu. Krytyk wył, ja wyłem, cała sala wyła i nawet jedna pani, o której mówiono, że jest Padwa. Zięć w tańcu przeginał teściową, dusił ją, chwytał za kok, wreszcie nacisnął jakiś niewidoczny mechanizm i z pupy teściowej zaczął się sypać proszek! Biały proszek! Że, niby, próchno z niej leci!

Mój krytyk tak się wił ze śmiechu na krześle, że kopnął stolik i wylał kawę na spodnie. Gdy wytarł spodnie i oczy powiedział, że te występy, to szmira i skandal. Bez żadnego poziomu. Już on napisze, już on im pokaże. Był bardzo oburzony.

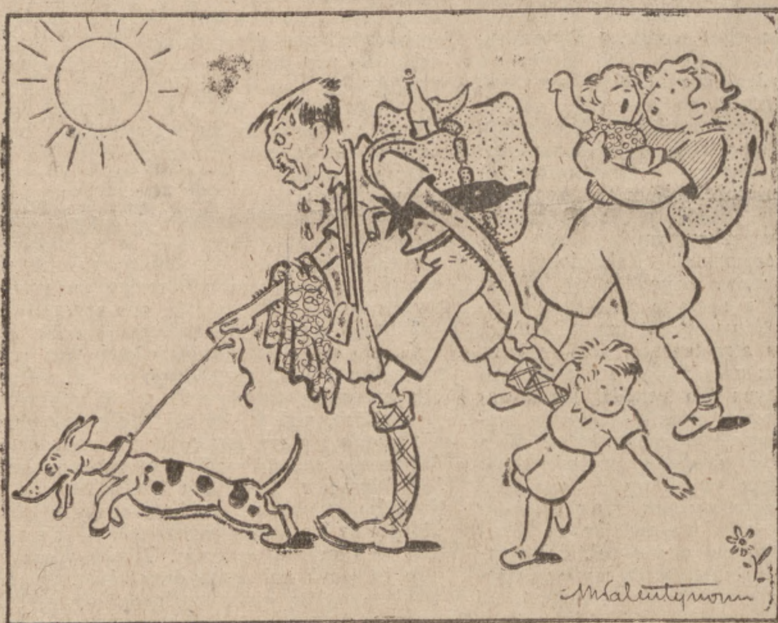
I Padwa, podobno tak samo.

DOWCIP PRZYBOSIA

Znany dyplomata, Julian Przyboś, jest również zdolnym humorystą. W swym artykule pod tytułem „...et Mrozy" („Odrodzenie" Nr. 35) odgradza się ze wstrętem od surrealistów, których jest zaciętym wrogiem. Surrealizm, to zaprzeczenie prawdziwej poezji, gdyż — jak pisze dosłownie — „dzieło sztuki wymaga ładu".

Tak, proszę Państwa! Przyboś twierdzi, że dzieło sztuki wymaga ładu. Czyż to nie świetny dowcip?

UWAGA. Wobec tego, że w rysunku krzyżówki L. Jasińskiego, zamieszczonym w poprzednim numerze „Tygodnia" były dwa błędy — więc zadanie anulujemy, przepraszając miłośników działu rozrywek umysłowych. Zadanie to zamieścimy z jednym z najbliższych numerów w ramach VI Konkursu.



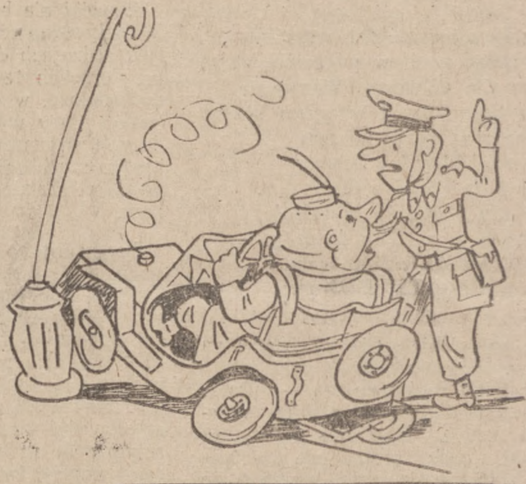
Rys. M. Walentynowicz

ODPOCZYNEK NIEDZIELNY

PRZYGODY ZAGŁOBY

Rys. Jerzy Zaruba

Badanie krwi



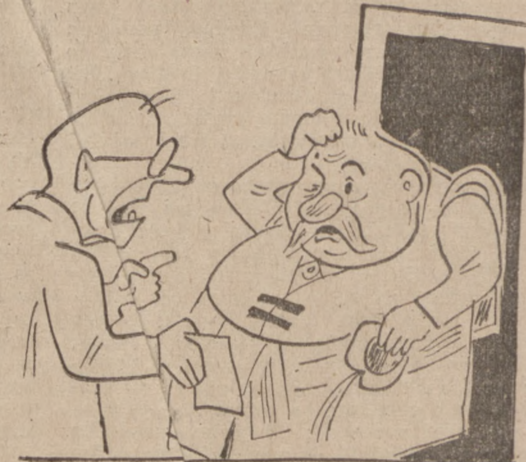
— Proszę ze mną! W myśl nowych przepisów musi pan przejść badanie krwi na zawartość alkoholu!



— Jeśli we krwi, którą pobrałem z pańskiego ucha, wykryję najmniejszy ślad alkoholu, będzie pan ukarany.



— Gotowe. Nie ma żadnego śladu...



— Żadnego śladu krwi. Tylko czysty alkohol!

NOWY KONKURS „TYGODNIA"

Zagadka szósta nie była trudna, to też z wyjątkiem kilku odpowiedzi błędnych, pozostałe zgodnie podawały, że ilustracja dotyczyła przysłowia: „W starym piecu diabeł pali". W drodze losowania otrzymali:

NAGRODY KSIĄŻKOWE

Zygmunt Kucharski — Nowy Sącz, ul. Kraszewskiego 34.

Wojciech Kozłowski — Łódź, ul. Wólczańska 136 — 8.

Helena Nowak — Wrocław, Zarząd Miejski, pokój 102.

B. Witaczyńska — Garwolin „Społem".

Zygmunt Stanny — Aleksandrów Kujawski, Marszałka Żymierskiego 18.

PRENUMERATĘ KWARTALNĄ „TYGODNIA"

Jerzy Łusiak — Białogard (Pomorze Zachodnie), ul. Świętochowskiego 23.

Stanisław Krajewski — Ostrzeszów Poznański, pow. Kępno, ul. Kaliska 43.

Janusz Grochocki — Szczecin, ul. Bol. Krzywoustego 28.

Wanda Kowalus—Częstochowa, ul. Handlowa 13 m. 3.

Janina Dornówna — Poznań, ul. Dąbrowskiego 27a.

Zdzisław Orłowski — Poczta Bachórzec pow. Przemyśl.

Marian Hajkiewicz — Będzin, ul. Kołłątaja 21.

Tadeusz Cebulak — Wola Zarzycka pow. Łańcut.

Lech Głowacz — Warszawa, ul. Szeroka 14 — 34.

Maria Romanow — Słupsk, Al. Wojska Polskiego 9.

Wszystkie nagrody zostaną wysłane pocztą. Poniżej zamieszczamy zagadkę nr 8. Treść odgadniętego na podstawie rysunku przysłowia należy przesłać do Redakcji „Tygodnia" do dnia 22 września br. Wśród czytelników, którzy nadeślą dobre odpowiedzi — rozlosowanych zostanie:

5 NAGRÓD KSIĄŻKOWYCH

oraz

10 NAGRÓD — PRENUMERATA KWARTALNA „TYGODNIA"



Rozwiązanie zagadki siódmej w następnym numerze.

KĄCIK FILATELISTYCZNY



W związku z częściową zmianą taryfy pocztowej we Francji, zbyteczne staną się najpopularniejsze obecnie znaczki o nominale 4.50 fr. Mimo to ukazała się jeszcze jedna taka wartość w kolorze karminowobrązowym. Znaczek ten przedstawia Franciszka de Fenelon (1651 — 1715), arcybiskupa w Cambrai, wielkiego francuskiego kaznodzieję i autora powieści wychowawczej pt. „Przygody Telemacha".

—oOo—

Dużo się mówi ostatnio u nas o nadmiarze nowości. Właściwie niesłusznie, gdyż w tej dziedzinie nie bijemy bynajmniej rekordów (po cichu musimy sobie powiedzieć, że bijemy je za to w innej dziedzinie: szpetności znaczków, ale to nam ani chwały, ani popularności bynajmniej nie przysparza). Dla przykładu weźmy rok 1946. Najwięcej znaczków, bo aż 94, wydały Węgry. Drugie miejsce zajęły Stany Zjednoczone (76), a dalej Związek Radziecki (74), Belgia (68), Austria (66), Bułgaria (66), Rumunia (57), Czechosłowacja (48), Polska z 38 wartościami zajmuje dalsze miejsce. W wydawaniu znaczków pamiątkowych w roku 1946 prym wiódł Związek Radziecki z 35-oma egzemplarzami, dalej Ekwador (26), Grecja (24) itd. Polska wydała 12 znaczków z dopłatami + jeden blok. Znaczki lotnicze zostały wydane przez 58 państw, w ogólnej ilości 449 sztuk. Na pierwszym miejscu uplasowały się Costa Rica i Ekwador, każde z 20-oma znaczkami. Stany Zjednoczone były w roku 1946 skromne, wydając tylko 3 nowe wartości. Więcej wydała Polska, bo aż 6; ale była to cała normalna seria, jaką wydaje się zazwyczaj raz na kilka lat.

—oOo—

Na zakończenie pikantna ploteczka filatelistyczna.

Z okazji rocznicy dojścia do władzy — argentyński dyktator gen. Peron, wydał 4-go czerwca specjalną serię. Złośliwi twierdzą, że na brązowo-żółtym znaczku 5 c — uosobieniem Sprawiedliwości jest... pani Peronowa, znana ze swych ostatnich podróży „dyplomatycznych"

WITOLD ORŁOWSKI

VI KONKURS „TYGODNIA"

na rozrywki umysłowe

Dziś rozpoczynamy VI Konkurs naszych rozrywek umysłowych, który zakończy się dnia 23 listopada br.

Za prawidłowe rozwiązanie każdego zadania przyznane będą trzy punkty. Suma największej zdobytych punktów decydować będzie o wygranej.

W razie równej ilości punktów nastąpi losowanie. Odpowiedzi należy nadsyłać do Redakcji „Tygodnia", Warszawa, ul. Szpitalna 5 m. 8, do dnia 10 grudnia br. Szczęśliwym zwycięzcom Konkursu przyznane będą wartościowe nagrody książkowe.

Konkurs ten jest połączony z konkursem autorskim, przy czym uczestnicy konkursu po jego zakończeniu wytypują trzy najlepsze zadania.

WIĄZANKA

W daną figurę wpisać 32 wyrazy o podanym znaczeniu, czytane dośrodkowo i wiązane ze sobą końcowymi głoskami w oznaczonych polach.

Środkowy rząd poziomy da nam rozwiązanie.

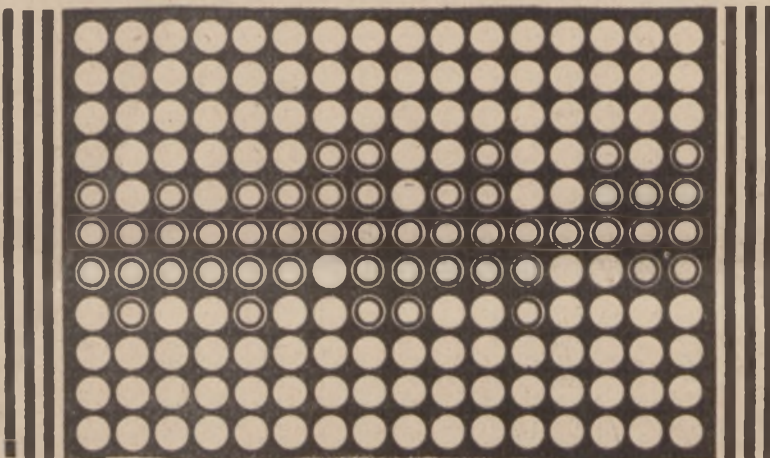
Znaczenie wyrazów górnych:

1. Obszary stepowe Ameryki Połudn., 2. Projektodawca. 3. Miłośnik cnoty. 4. Imię sułtanów tureckich, 5. Działobicie, 6. Miasto w Czechosłowacji, pamiętne zwycięstwem Sobieskiego nad Turkami, 7. Święty ptak egipski, 8. Roślina górska, pokryta białym filcem, 9. Stolica państwa w Europie, 10. Rzeka w Syberii wschodniej, 11. Słynny filozof holenderski XVII w. 12. Mała piosenka. 13. Szczyt w Tatrach Bielskich, 14. Ojciec Zeusa. 15. Gra hazardowa. 16. Bałwochwalca.

Znaczenie wyrazów dolnych:

1. Przełożona klasztoru żeńskiego. 2. Pajac. 3. Wielki diament osobno oprawiony. 4. Kara pieniężna. 5. Miesiąc postu u mahometan. 6. Rodzaj zasłony. 7. Reformator szkolnictwa w Polsce XVIII w. 8. Kierownik czasopisma. 9. Port morski w b. Prusach Wschodnich. 10. Pobudka myśliwska. 11. Pogardliwa nazwa wolnomyśliciela. 12. Instrument muzyczny. 13. Jednostka ciężaru w dawnej Polsce. 14. Nazwisko dwóch prezydentów St. Zjedn. A. P. 15. Łączność. 16. Teren trawiasty na Czarnohorze.

Uł. Erazm Grójnacki



Uł. W. Wołoszyńska



SKLEROZA

Prosimy Czytelników o przysyłanie nam wszelkiego rodzaju materiałów do „Sklerozy" z zaznaczeniem, skąd są wzięte i z potwierdzeniem ich autentyczności.

Za najlepszą rzecz tygodnia

PRZEZNACZAMY 150 ZŁ. NAGRODY

W ubiegłym tygodniu nagrodę 150 zł. otrzymał p. W. Czajkowski (Brzesko, ul. Słowackiego 42) za nadesłanie dwóch wycinków z „Kuriera Codziennego" Nr. 216/207):

STOSUNKI HANDLOWE BRYTYJSKO - RADZIECKIE

„Moskwa (PAP) Organ amabasady brytyjskiej w Moskwie, „Brytanskij Sojusznik", podaje, że eksport brytyjski do Związku Radzieckiego w ciągu pierwszego kwartału bieżącego roku wynosił przeszło 7 milionów funtów, podczas, gdy w ciągu takiego samego okresu roku ubiegłego — wynosił tylko 140 tysięcy funtów".

i drugi tytuł z tego samego pisma:

SKŁADUJEMY ZBOŻE BEZ STRAT

„Czy Kurier Codzienny zwolna, acz wytrwale,
Reformę pisowni wprowadza, Michale?
— Tak się wuj Tadeusz ojca wczoraj pytał,
Dając mu gazety, aby sam przeczytał.
W obu zaś wypadkach wujcio dwa nagłówki,
Podkreślił starannie czerwonym ołówkiem:
„STOSUNKI HANDLOWE... i „SKŁADUJEMY ZBOŻE...
Ojciec papier bierze, pod sam nos podtyka
— Cóż u diabła! — mówi — czy nie spadli z byka?
— Żeby tak napisać... zresztą może... m-o-ż-e!
Poczytne to pismo z oryginalnym „Xięciem" —
Wzięło się na serio za to przedsięwzięcie..."
(Jeśli się ktoś z czytelników onym „Xięciem zdziwił",
To powiemy mu od razu, że to pan Radziwiłł

Jeszcze à propos nowej pisowni podajemy odpis pewnego zaświadczenia:

Jemielnica, dn. 7 sierpnia 1947 r.
Zarząd Gminy w Jemielnicy

Zaświadczenie.

Zarząd Gminy w Jemielnicy zaświadcza, że obyw. Woźniak Szczepan, urodz. dnia 16.6.1906 r. w Szczepabku jest żywicielem rodziny i ma na utrzymaniu następujące członki rodzinne:

1) Woźniak Julianna ur. dn. 8. 6. 1907 r. — żona, 2) Woźniak Alojzy ur. 22. 5. 1930 r. — syn, uczeń, 3) Woźniak Helena ur. 1. 11. 1932 r. — córka, 4) Woźniak Erna ur. 19. 8. 1934 r. — córka, 5) Woźniak Rajmund ur. 14. 12. 1935 r. — syn, 6) Woźniak Łucja ur. 1. 6. 1940 r. — córka, 7) Woźniak Zygfryd ur. 28. 9. 1942 r. — syn.

Zaświadczenie niniejsze wydaje się celem przedłożenia w „Społem" w Strzelcach.

pieczęć: Zarząd Gminy w Jemielnicy pow. Strzelca (—) podpis nieczytelny Wójt gminy zbiorowej

Widocznie Wójt „Gminy Zbiorowej" czytuje „Kurier Codzienny".

P. J. Kacprzak (Warszawa, Al. Sikorskiego 43/28) nadesłał ciekawą notatkę z Nr. 225 nieocenionego „Wieczoru":

KOTY W CHARAKTERZE POKOJÓWEK

„Amerykanin John Robertson z New Jorku doprowadził tresurę kotów do perfekcji. Potrafią one nosić talerze, nakrywać do stołu, ścierać kurze. Pobiera on trzy dolary za jedną lekcję. Rezultaty są podobno fenomenalne.

Wiadomość „Wieczoru" jest jeszcze niekompletna. Uzupełnimy ją dalszymi informacjami. Koty nauczono trudnej sztuki dziennikarskiej i obecnie piszą w dziale „Plotki międzynarodowe" w „Wieczorze".

TYDZIEŃ

Wydawca: Spółdzielnia Wydawnicza „Tydzień"
Redaguje: Zespół redakcyjny
Adres Redakcji i Administracji: Warszawa, Szpitalna 5 m. 8
Redaktor przyjmuje w czwartki piątki i soboty od 10—12.
TELEFONY Redakcji 86-164
Administracji 88-715
Redakcja rękopisów nie zwraca
Prenumerata miesięczna 75 zł. półroczna — 450 zł. roczna 900 zł.
Konto P.K.O. Warszawa Nr I-4766
Konto czekowe w Banku Gospodarstwa Spółdzielczego Oddz. Wojewódzki Warszawa Nr 107.
Ogłoszenia za 1 mm wysokości na szerokość 1 szpalty — 75 zł.
W tekście 50% drożej
R. S. W. „PRASA", Z. G. W-wa, Smolna 12 B-38342

JAK KRÓL MICHAŁ ARESZTOWAŁ MARSZAŁKA ANTONESCU

W dniach sierpniowych 1944 roku, gdy wszyscy byliśmy zaabsorbowani powstaniem warszawskim, ważyły się również losy Rumunii. Armia Czerwona stała już na granicy Mołdawii i groziła Niemcom przerwaniem południowego skrzydła wschodniego frontu. W Bukareszcie rządził jeszcze marszałek Ion Antonescu, sprzedawczyk, całkowicie oddany Hitlerowi.

23-go sierpnia nastąpił historyczny przełom. W chwili, gdy wojska radzieckie przystąpiły na całej długości frontu do forsowania pozycji niemieckich, król Michał wydał rozkaz zaprzestania walki przez oddziały rumuńskie, stanowiące poważną część sił zmasowanych przez Niemców dla obrony żyznych pól i nafty. W tym dniu 23-go sierpnia 1944 roku — odbyła się również historyczna rozmowa między królem Michałem a marszałkiem Antonescu. Młodociany król Michał zamiłowany we wszelkiego rodzaju technicznych wynalazkach przy pomocy ukrytego mikrofonu i odpowiedniej aparatury, znajdującej się w sąsiednim pokoju, utrwalił całą rozmowę na płytach.

Oto przebieg rozmowy:

Antonescu: Wasza Królewska Mość niech żyje!

Król Michał: Nie ma czasu do stracenia. Nie zważając na moje uwagi, doprowadził pan kraj do sytuacji, z której tylko natychmiastowe zaprzestanie działań wojennych i wypędzenie Niemców może przynieść ocalenie.

Antonescu: Pan się myli.

Król: Proszę zastosować się do poprawnego zwracania się do mnie. Co to znaczy PAN?

Antonescu: Pan — Wasza Królewska Mość — Wasza Królewska Mość jest dziś zdenerwowany.

Król: Tak, a to dlatego, że gdy dziś rano wezwałem pana do siebie, potraktował mnie pan jak kogoś bez znaczenia (bijąc ręką w stół). Nie pozwolę, aby pan lekceważył moją osobę. Pan chyba nie myśli, że pozwolę panu na uzurpowanie moich prerogatyw i udawanie głupca, gdy mój kraj może zginąć?

Antonescu: A kto niszczy kraj?

Król: Wy wszyscy. Ale gdy was wzywam, to nie macie czasu dla króla tego kraju.

Antonescu: Pragnę powiedzieć, że pan jest w błędzie przypuszczając, że można ocalić ten kraj przez zawieszenie broni.

Król: Nie wzywałem pana, aby prosić o zdanie lub opinię. Wezwałem pana, aby polecić panu przekazanie tej depeszy do Narodów Zjednoczonych (w sprawie zaprzestania działań wojennych).

Antonescu: Kto ułożył tę depeszę?

Król: Co to pana obchodzi? Jeżeli pan nie wyśle depeszy, uczynię to sam.

Antonescu: Czy może pan sobie wyobrazić, że marszałek oszuka swoich sojuszników niemieckich i rzuci ich w objęcia Rosjan?

Król: (krzycząc). Kto tu oszukuje, pan czy Niemcy? Czy pan dawał gwarancje granic Niemiec, czy Niemcy gwarantowały całość granic Rumunii?

Antonescu: (głośno). Nie jestem głuchy. Dlaczego pan krzyczy?

Król: Tak. Jest pan głuchy. Inaczej słyszałby pan narzekanie całego kraju. Krótko, Marszałku, czy wyśle pan depeszę? Tak czy nie?

Antonescu: Nie, w tej formie nie wyślę.

Król: A jak?

Antonescu: Muszę porozumieć się z Niemcami.

Król: Co? Czy my się tu targujemy, PANIE Antonescu?

Antonescu: MARSZAŁEK Antonescu.

Król: PAN Antonescu. Przez te cztery lata, w czasie których uzurpował pan sobie moje prawa, nie cieszył się pan ani moim zaufaniem, ani sympatią. Od miesięcy pracuję z opozycją, aby ocalić mój kraj. Pan, wie o tym, uważa mnie za głupie i jąkające się dziecko. Rumuni to osądzą. Jeżeli jednak przypuszcza pan, że jestem zdrajcą, to przeżyje pan całkowite rozczarowanie. Jestem królem tego kraju i pańskim królem. Pragnę ocalić ten kraj i (krzycząc i bijąc pięścią w stół) nikt mnie nie powstrzyma.

Antonescu: Wasz Królewska Mość jest młody i niedoświadczony.

Król: Pan jest w błędzie. Cierpienie jest doświadczeniem.

Antonescu: Nie może pan decydować o losach kraju, jeżeli...

Król: (przerywa). Jestem naczelnym wodzem armii i mój rozkaz został wydany.

Antonescu: (gwałtownie). Wydany? Jaki rozkaz? Czy Wasza Królewska Mość zdaje sobie sprawę, że to może oznaczać utratę tronu dla Waszej Królewskiej Mości?

Król: Czy pan mnie straszy? Czy myśli pan, że może pan jeszcze komukolwiek rozkazywać? Teraz i na przyszłość ja wydaję rozkazy. Pan jest aresztowany.

W tym momencie drzwi do sali, w której odbywała się ta historyczna rozmowa, otwarły się gwałtownie. Kilku żołnierzy królewskiej gwardii przybocznej weszło z bronią w ręku. Tymczasem aparat ukryty za ścianą nagrał jeszcze dwa zdania:

Antonescu: (krzycząc): Co? Mnie, marszałka Rumunii? Nigdy!

Król Michał: Bzdury. Zabierzcie go stąd.

Tak się też stało. Zdrajca Antonescu został prowizorycznie uwięziony w schowanku, w którym ojciec króla Michała, król Karol zwykł przechowywać swoje cenne zbiory znaczków pocztowych.

OSIEMSETLECIE MOSKWY



Stolica Związku Radzieckiego uroczyście obchodziła swój wielki i historyczny jubileusz.